

Przecinek 7

Wrocław / Vratislav / Breslau

Seria II



Zwolennicy przecinka i mecenas „Przecinka”

Przecinka nie można zaprenumerować, ani kupić w księgarniach, bo 1/ wciąż nie udało mi się znaleźć [co za naiwny eufemizm, redaktor-ku! – dop. JP] wydawcy-mecenas, 2/ nie wiadomo kiedy (i czy w ogóle) ukaże się następny zeszyt. Na zamówienie listowne i telefoniczne egzemplarze wysyła REDAKCJA. Można natomiast (zachęcam!) hojnie wesprzeć PISMO złotówkami i dukatami: każdy mecenas otrzyma odrębne podziękowanie na papierze czerpanym z Dusznik Zdroju i kolejne nry.

Ponadto, oprócz darów pieniężnych, REDAKCJA przyjmuje dary w naturze (faksy, automatyczne sekretarki, kopiarki, koperty, znaczki pocztowe, ołówki, cukierki miętowe etc. itd.)... Wszystkim mecenasom z góry dziękuje

red. Piotr Cyryk

Wydanie „Przecinka” wsparli:

A.F. (Puszczykowo).....	200,00 zł
Wacław Grabkowski (Wrocław).....	50,00 zł
Janusz Kryszak (Toruń).....	100,00 zł
Filip Pachniewski (Gliwice).....	50,00 zł
Jan Stolarczyk (Wrocław).....	52,24 zł

Na s. 1 okładki: polscy i niemieccy czytelnicy **Baśni domowych i dziecięcych** oraz „Przecinka” pod pomnikiem Grimmów w Kassel (25 VIII 1998) nie widzą fruwającego banknotu (1000 DM!) z podobiznami Jakuba i Wilhelma G. A wystarczyło tylko podskoczyć, by go złapać...

To oni mnie straszyli?

Nie, chyba nie tylko oni, także inni, znani mi później z imienia i nazwiska, także anonimowi na zawsze autorzy bajek o utoplcach, duchach i diabłach. Nie tylko oni. Właściwie to słyszałem w dzieciństwie tylko kilka ich baśni (nawet nie wiedziałem, że to oni je spisali) i to w spolszczonych, skróconych i ocenzurowanych przez dorosłych wersjach. Ani jednej po niemiecku, Och, jakże mnie przerażała wiedźma (czyż to nie była Baba Jaga?), co chciała upiec Jasia, bo odłamał kawałek czekoladowej dachówki... Też mieliśmy w domu nieduży piekarnik (nie, to był piekarniok); bałem się żaru buchającego po otwarciu żeliwnych drzwiczek, uciekałem z kuchni, potem zerkałem przez okno, co robi mama. Powoli, po kolei, kładła na drewnianą łopatę okrągłe, surowe pecynki i wsuwała do środka. A jeśli zostanie trochę miejsca i mnie położy na łopatę? Bo i ja byłem niekiedy niegrzeczny (raz zjadłem ukrytą w szafie całą czekoladę unrowską)... A tu, w Kassel, na pomniku w pobliżu domu, w którym mieszkali u krewnych, prawie dwieście lat temu, miny mają profesorskie (no tak, zostali później profesorami w Getyndze i Berlinie); jakby przepaszali: to nie my, to nie myśmy podszeptywali, że można by wrzucać ludzi do pieców krematoryjnych w Auschwitz, myśmy (prawie sto pięćdziesiąt lat wcześniej) tylko zapisywali gęsim piórem niewinne bajdurzenia (także hugenockich, o czym przecież nie wiedzieliśmy) nianiek; jakby pytali: czyż to nie ja, Jacob, wydałem w czterech tomach **Deutsche Grammatik**, czyż to nie myśmy – Wilhelm i Jacob – opracowali cztery początkowe tomy monumentalnego słownika języka niemieckiego? A kto o tym, poza nielicznymi profesorami i studentami, pamięta? Wszyscy tylko: Märchen, Märchen... A co się teraz pokazuje w kinach i telewizji? Co za okropieństwa: bez sensu, gustu i morału! To myśmy byli poetami, nie ukrywamy: niejedno zdanie dopisaliśmy sami. Tylko kto je teraz odkryje? A one są najważniejsze.

(98)

Joy Photo

My, zjadacze słowików i słowników, stale i wciąż pożeramy i przeżuujemy także słowa obce...

Wciąż (wciąż i stale, jak mówią niektórzy) pożeramy także słowa obce: od tysiąclecia. I dłużej. Bolesław Chrobry, rex Poloniae, ponoć znał jedynie dwieście słów o rodowodzie prasłowiańskim. Ale czy sam nie był prawie Prasłowianinem (na dodatek: pół-Pepikiem): dla nas? A ile słów obcych? Nie wiadomo. Na pewno odróżniał misę od missy. Mogę się założyć o sto denarów Mieszka I. A teraz co? W języku polskim słów obcych więcej niż rodzimych? Nie wiem, nie wiem. Tysiąc lat temu w prastaropolskim używano (podobno, podobno) dwa tysiące słów. A teraz? Lech Wałęsa, prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, miał już do wyboru dwa miliony słów, choć (znowu: podobno, podobno) używał na co dzień tylko, jak Ojciec Bolek, dwieście. Dwa miliony słów! I tak wszystkich nie notują nawet największe słowniki, jedynie – tak, tak – dwieście tysięcy. A my codziennie przeżuujemy, przeżuujemy spokojnie obce słowa, a potem nikt już nie poznaje, że przywędrowały z zagranicy, albo nawet z Ameryki (och, z Hameryki, jak mówią górale z Tatrów). Nie obrażają nas wcale wyzwiska: ty krowo, jak leziesz, to nie zebra – przecież wiemy: to jezdnia. Przeżuujemy spokojnie, wiktuałów (nie musi to być siano, albo słoma owsiana) mamy w nadmiarze: nikt nas nie przekupi, przeżuujemy po kolei, nie tak łatwo trafić do nowego słownika.

Dlaczego – na przykład – mamy zjadać „gorące psy”? Idę ulicą, a tu zachęca się mnie, bym spróbował hot doga, nie dam się skusić. Wolę – jak bracia Czesi – parok v rohlíčku! Z musztardą sarepską. Po co nam komputer? Czy nie lepiej: maszyna cyfrowa? Hm, to też słowa obce! Maszyna – z niemieckiego, a właściwie z łaciny. A cyfra? Z arabskiego. Psiakość, to niech już będzie krótko: komputer. Jak w Ameryce, gdzie niektóre kobiety mają silikonowe... Ale co silikonowe biusty mają wspólnego z twardym dyskiem? I nie jest to dysk olimpijczyka. Nie damy się zniechęcić: będziemy nadal pożerać i przeżuwać słowa, których nie ma dotąd w słownikach: nie wszystkie nam smakują, gorzkie albo za słodkie po prostu wypływamy. Nie, nie na podłogę: do plastikowej spluwaczki. Kto pamięta, stojące jeszcze w latach 60. w PRL-owskich urzędach, metalowe spluwaczki i pouczenie: *Pluj tylko do spluwaczki?* My, zjadacze słowików i słowników, pamiętamy. I zapamiętamy aż do śmierci. Oby nie w tym tysiącleciu.

Przecinek

Małe prozy
i marginalia
Jerzego Pluty

7

Wrocław /Vratislav/Breslau

Redaktor: Piotr Czyżyk

1999

Seria II: dla zjadaczy kartofli i słow(n)ików *© Copyright by Jerzy Pluta *
Wszystkie prawa zastrzeżone / All rights reserved * Zezwolenia na przedruki
(lub tłumaczenia) udziela REDAKCJA: 53-533 Wrocław,
ul. Zielińskiego 43 m. 10, tel. (071) 361 75 39*

Wydawca: na zlecenie Jerzego Pluty – **USŁUGI WYDAWNICZE** Ernest Dyczek, 54-206
Wrocław, ul. Legnicka 156/4, tel. (071) 351 63 19. Nakład: 322 egz.

Od redaktora

Już kilka dni po Zaduszkach '98 niemal codziennie poszturchiwałem Szefa, by wreszcie wystukał brakujące teksty do siódmego zeszytu. I co mi odburkiwał? Że mu przedwczesna zima przeszkadza... A cóż to dziwnego, że w listopadzie biało za oknem? No tak, we Wrocławiu to coś nadzwyczajnego: cudaczna anomalia. Miałem bowiem nadzieję, że siódemka ukaże się w grudniu 98 r. A czy to ważne, kiedy się ukaże? – pieklił się Szef, gdy mu przygadywałem, że się leni, że za długo śpi, za długo wyleguje po obiedzie na tapczanie, a potem pod wieczór nie chce mu się usiąść przy biurku chybottliwym (a dlaczego nie kupi nowego?) sprzed ćwierć wieku. I dodawał, że *Przecinek* ukazuje się od czasu do szałas (hm, hm, co to znaczy? – do dziś nie wiem). A na dodatek ryknął na mnie, że (ze zrozumiałych względów) w olimpijskiej konkurencji literackiej – bieg z przeszkodami na 3 km – nie bierze udziału. A niech sobie gada, co chce; to ja mam pilnować /starać się/ przypominać itd., by – wbrew wszystkiemu! – kolejny *Przecinek* się ukazał.

I jeszcze dodał buńczucznie, że *Przecinek* można porównać do grafik, odbitych osobiście przez artystę: tylko 40 (albo 100) egz., opatrzonych autografem, staje się oryginałami, choć w każdej chwili można je zwielokrotnić wielokrotnie...

Gdzie mieszkamy?

Gdy 1 stycznia 1999 r. obudziłem się po dziewiątej, nie pomyślałem od razu, że oto mieszkam w województwie dolnośląskim. A moje rodzinne okolice w jakim teraz powiecie i województwie? Jeszcze w październiku 98 r. kupiłem sobie nową mapę administracyjną Polski (hm, już wyd. 2, antydatowaną: 1999). I co? Mimo wszystko: za dużo województw. Opowiadałem się za trzynastką (czyli z woj. kujawsko-pomorskim), a bez opolskiego, świętokrzyskiego i lubuskiego. Oj, nie popisali się postowie, za to cieszą się kartografowie. Ile trzeba będzie wydać nowych map województw? A jakże zadziwiające kształty mają niektóre województwa! Np. mazowieckie, albo wielkopolskie. Toż to dzieła kapryśnych grafików...

Najbardziej martwi mnie podział Śląska na trzy województwa, przy czym tylko jedno – opolskie – w całości obejmuje ziemie śląskie. Czyż pierwotny projekt podziału historycznego Śląska na dwa regiony (dółnośląski i górnośląski) nie był lepszy? Dlaczego woj. śląskie? Bo tak – co było wówczas całkiem uzasadnione – nazywało się przed wojną? Teraz – w nowym geograficznym kształcie – powinno się nazywać tak: górnośląsko-zachodniomałopolskie... A moja rodzinna miejscowość nie znajduje się już w pow. gliwickim (kiedyś toszecko-gliwickim), lecz w ... tarnogórskim. Zostałem ziomkiem prof. Jana Miodka? Powiatowym.

Bliżsi są mi pisarze z obiektywami wąskokątnymi...

Rozmowa popołudniowa (przy herbacie)
z Jerzym Łukaszem

– Jest Pan – mówiąc i uczenie, i żartobliwie – pisarzem wielorodzajowym, wielogatunkowym. I prozaikiem, autorem kilku powieści i wielu opowiadań (w 1997 r. ukazał się w PIW-ie *Afgański romans*); i krytykiem literackim oraz eseistą, autorem książek: *Języki prozy i Byt bytujący*, stale od kilkunastu lat współpracującym z *Twórczością*; i felietonistą; i dramaturgiem (w teatrach Bydgoszczy i Warszawy w 1998 r. wystawiano „T. Manna”); i germanistą, który zrezygnował z kariery uniwersyteckiej, autorem wydanej drukiem dysertacji o *Dziennikach T. Manna*; i tłumaczem literatury niemieckojęzycznej... Dodam prostodusznie, że podaję te dane z odrobiną zazdrości: urodził się Pan w 1958 r., a tu taki różnorodny dorobek, którym można by obdzielić kilku pisarzy. Nie wiem, którą z tych dziedzin literackiej aktywności uważa Pan za najważniejszą: może prozę? może eseistykę? Porozmawiajmy jednak dziś o kilku niemieckich sprawach. Co się dzieje w niemieckim życiu literackim? Jak się miewają pisarze b. NRD?

– To bardzo obszerna problematyka... Mogę mówić tylko o moich wrywkowych rozpoznaniach. W b. NRD po 1989 r. nagle przestały istnieć państwowe wydawnictwa i pisarze poczuli się jakby opuszczeni, niektórzy tylko potrafili się dostosować do nowych warunków, czyli do sytuacji, w której jest tzw. rynek literatury. Zaraz po 1989 r. wydawano w Niemczech, dawniej Zachodnich, sporo książek byłych NRD-owskich dysydentów, to było coś atrakcyjnego, chociaż wcześniej wszyscy właściwie dysydenci wschodnioniemieccy, którzy chcieli drukować na Zachodzie, mogli to robić. Literatura w zjednoczonych Niemczech jest wielonurtowa, wielogłosowa, można powiedzieć: wieloparadygmataowa...

– To znaczy?

– Paradygmat, któremu patronowali klasyści niemieccy, powiedzmy: od Kleista do Manna, nie jest wieczny. O ile przed pierwszą falą awangardy w końcu lat 50. był właściwie jedyny, to teraz oprócz niego są jeszcze inne wzorce językowe. Nie wiem, czy rzecz wiąże się z jakąś regułą pokoleniową, bo są pisarze np. średniego pokolenia, jak np. Peter Handke (rocznik 1942), którzy chyba bliżsi są duktowi klasycznego niż tego, który wyraża się aktywnym stosunkiem do języka. (Co nie znaczy, że Handke ma „bierny” stosunek do języka. Jego innowacja językowa to czary poza wszelkimi paradygmatami.) Autorzy młodszy niewiele mają wspólnego z kulturą okrągłego zdania...

– Młodszy są bardziej buńczuczni?

– Nie chcę generalizować, współczesna literatura niemieckojęzyczna to tysiące, tysiące książek... Najcenniejsze utwory w literaturze niemieckojęzycznej rodzą się w „nizach ekologicznych” literatury. Taką niszą jest np. Austria. To laboratorium językowe, w którym ocaleniu ulega wszystko, co się zatracza czasem w życiu literackim Republiki Federalnej, gdzie ma ono szybsze tempo. Kiedyś poprosiłem Fundację „Pro Helvetia” o przysłanie mi całej kolekcji nowej, niemieckojęzycznej, prozy szwajcarskiej. Kiedy ją przeczytałem, zobaczyłem jakie to bogactwo języka, co z tej niemczyzny, nie burząc jej reguł, można zrobić. Paradoksalnie, książki te wydał Fischer Verlag, a więc wydawca z Frankfurtu. Literatura jest niemiecka poprzez język, a nie dlatego, że powstaje w Niemczech. Są pisarze niemieccy w Ameryce. Wszyscy nieustannie podróżują... Np. Handke, uważany za pisarza austriackiego, jak Canetti, a w sumie, jak i Canetti, mało w Austrii przebywał. Teraz mieszka we Francji, pod Wersalem, kupił dom w lesie (to o tym domu jest jego gruba powieść „Mój rok nad zatoką niczyją”, na polski dotąd nieprzetłumaczona).

– Czy mimo wszystko można wyróżnić jakieś główne nurty we współczesnej literaturze niemieckiej?

Peter Handke**Zdania poranne (z lat 1982-1987)**

- ✍ Prawdziwy czytelnik czyta nawet obok umierającego (i nie jest to chorobliwe).
- ✍ Mężczyzna nazywający się Rosenhauser opowiadał: „W Karlsruhe poszedłem na cmentarz żydowski poszukać swojego nazwiska”.
- ✍ W stronach rodzinnych stanę się (znowu) odludkiem.
- ✍ Zamiast „język ojczysty” mów: „język ojciec”.
- ✍ „Być jednej myśli”: piękne powiedzonko.
- ✍ Dzień się rozpoczyna: słyszę to.
- ✍ „Serdeczny przyjaciel”: gdzie jest mój serdeczny przyjaciel? = to ja.
- ✍ Notatnik zastępuje mi zegarek kieszonkowy.
- ✍ Jesień to pora maniackiego czytania.
- ✍ Franz Kafka to od początku XX wieku największy z wszystkich stukniętych pisarzy – ale mimo wszystko stuknięty. Zauważcie wreszcie także kogoś innego.
- ✍ Było sobie tak pewnego razu: ukołysałem dziecko do snu przy moim sercu.
- ✍ „Jestem” znaczy: „jestem w pobliżu”.
- ✍ Poeta to chłop bez ziemi; albo: chłop na Atlantydzie.
- ✍ „Szuka pan kogoś”? – „Tak, miejsca do zaparkowania”.
- ✍ Franz Kafka za mnie powiedział, że jestem nędzarzem. A więc nie potrzebuję tego powtarzać. Muszę więc powiedzieć coś innego. Albo milczeć.
- ✍ Dwa najpiękniejsze w języku niemieckim słowa rozkazujące to: „lass!”/zostaw! i „lies!”/czytaj!
- ✍ Co jest wątpliwe? Dzieciństwo. Co jeszcze? Dziecko? Co jeszcze?
- ✍ Radość poety to duma tłumacza.
- ✍ Kim właściwie jestem? Nie mam nawet porządnej maszyny do pisania...
- ✍ Urodziłem się podczas wojny. A ponadto urodziłem się w domu mojej matki.
- ✍ Nie mam w tej chwili jakichkolwiek kłopotów; i to mnie martwi.
- ✍ Czy koty są komuś potrzebne? – Jak ptaki swoim lotem, tak koty urzekają nas, niekiedy, swoim niewzruszonym wysiadymaniem i próżniaczym wylegiwaniem się.
- ✍ „Czekam z przyjemnością”, powiedział hazardzista.
- ✍ Serdeczne przywitanie: „Pozwól, że ci się przyjrzę jeszcze raz”!
- ✍ Pisać tylko całym sobą („całym” w każdej linijce).
- ✍ Język to cięsielski sznurek.
- ✍ Ptaki, na niebie i ziemi, to pośrednicy między Bogiem a człowiekiem.

- ✍ Sztuka: powaga i wdzięk (to „i”).
- ✍ Babki to roślinne wróble.
- ✍ Austriacy to naród pól sierot!
- ✍ Z gazety. Ksiądz proboszcz jest „normalnym mężczyzną. Ma przecież zezwolenie na broń myśliwską”.
- ✍ Iść powinno znaczyć: przemierzać.
- ✍ Tęsknota jest najdłuższym listem.
- ✍ Bez dzieła nie ma Boga.
- ✍ Drzewa szumią i brama się otwiera.
- ✍ Czytając myślę: czytaj *więcej!*
- ✍ Zamiast „wiara, nadzieja, miłość” mów: miejsce, książka, miłość.

Peter Handke, **Am Felsfenster morgens** (und andere Ortszeiten 1982-1987)

© 1998 Residenz Verlag, Salzburg und Wien

Gdy powiedziałem red. Czyżykowi, że zamierzam przetłumaczyć kilka fragmentów najnowszej książki Petera Handkego (polecił mi ją w lecie 98 i pożyczył egzemplarz Jerzy Łukosz), omalże mnie nie spiorunował. Pozwolił sobie także na złośliwy przytyk: „Przecież ty nie znasz niemieckiego”... To prawda, nie opanowałem dobrze (ba: nawet średnio) ani jednego języka obcego, ale niemiecki jednak (przynajmniej biernie) trochę (etwas) znam; a po drugie – od najmłodszych lat słyszałem wokół siebie (co prawda tylko w wersji gwarowej) także zdania niemieckie i coś tam w główce zostało. Potem uczyłem się (w szkołach i na kursach) także rosyjskiego, francuskiego, niemieckiego, łaciny, czeskiego i angielskiego...

Dlaczego wybrałem akurat Petera Handkego? Może dlatego, że to mój rówieśnik. A zarazem wiadomo: Handke to europejskiej sławy autor ponad 30 książek, to piszący po niemiecku (urodzony i wychowany w Austrii) obywatel świata, od wielu lat kandydat do Nagrody Nobla. W Polsce znany jest przede wszystkim jako prozaik i dramaturg, choć raczej wybiórczo. Zapamiętałem najbardziej monodram autora **Leworęcznej kobiety**, drukowany pod koniec lat 70. w *Dialogu*, chyba pt. „Posiedzenie Rady Nadzorczej”. Czytałem to wówczas jak baśń, a był to utwór hiperrealistyczny...

Am Felsfenster morgens to czwarty zbiór zapisków dziennikowych Handkego (z lat 80., gdy mieszkał w Salzburgu), dotyczących głównie literatury. Z obszernego zbioru (ponad 500 stron!) wybrałem krótkie zdania, które mi się spodobały, a które zarazem nie stwarzały nadmiernych trudności translatorskich. Konsultacja filologiczna: Rosa-Maria Wrona (danke, merci!). Tytuł – „Zdania poranne” – pochodzi od redakcji. Dziękuję wydawnictwu „Residenz” w Salzburgu za łaskawą zgodę (i to *honorarfrei*) na druk fragmentów w *Przecinku*.

Oddamy/nie oddamy!

Ile to razy czytałem w gazecie, albo na murach, na drzwiach i szybach wystawowych, na słupach oświetleniowych, że ktoś odda psa/kota w dobre ręce? A niekiedy był dopisek, że jeśli nikt się nie zgłosi, to pies zostanie uspiiony. I co miała powiedzieć synusiowi mamusia, który się dziwił, że koteczka też trzeba usypiać, a co mamusia kotusia mruczy mu na dobranoc? No tak, kociątek już ponoć nie topi się w stawach i rzekach, ale czy nuci się im na pożegnanie kołysankę, czy dostają przed uspieniem czekoladkę? Tak, wiem psa/kota można oddać w obce ręce, byle dobre. A ja gorszy? Córka chce mnie oddać do przytułku, bo wnuczki chcą mieć pieska, a przecież mieszkanie małe, burek musi figlować, żeby się nie stresował, a mnie by się to – mówi – nie podobało. To prawda, nie znoszę psów w łóżku i na kanapie: do budy, do budy! Proszę, proszę: *Oddam w dobre ręce dobrze utrzymanego 3-miesięcznego mieszańca owczarka niemieckiego z dogiem. Proszę, proszę: Oddam w dobre ręce roczną kotkę, przyjacielską, dobrze wychowaną, wraz z całym jej wyposażeniem.* A to ogłoszenie czyż nie powinno się znaleźć w rubryce: TOWARZYSKIE? „*Weź mnie, a będę Cię rozweselał*” – *odchowane kotki, dobrze ułożone i bardzo wesole, uwielbiające dzieci, czekają na dobrego właściciela.* A może chodzi o kociaki? A jak to stało jak wół – dawno, dawno temu – w elementarzu? *Ala ma kota*, cha, cha! A to co? *Przyjmę młodą kotkę tricolor – rudo-czarno-białą.* Oddam, oddamy; oddam się dopiero po ślubie; oddam się w dobre ręce, byle ze złota; oddam się tylko z miłości; oddam pięć groszy, które znalazłem na przystanku tramwajowym...

A wczoraj na dużej tablicy ogłoszeniowej, tuż obok szkoły, uśmiechnięta panna-kotka w dziurawych džinsach wciąż zachęcała mnie do kupna telefonu komórkowego (czy ona ma już komórkę w torebce?); a dziś nikt mnie nie zatrzymuje: widzę wyraźnie jedynie trzy niewielkie prostokąty, szare, to resztówka kolorowego plakatu. U dołu natomiast ktoś napisał niedawno czarnym flamastrem: *Nie oddamy Polski w obce ręce!* Tylko jeden wykrzyknik?

(11 XI 98)

Pan tu pilnuje?

Który to raz zaskakuje mnie na ulicy ktoś nieznajomy głupim pytaniem? Może wcale nie głupim, tylko ja się dziwię niepotrzebnie. Dlaczego akurat mnie zaczepiają nieznajomi? Budzę zaufanie? Chyba biorą mnie za swojaka, który na pewno wie, jak dojechać do... We Wrocławiu – to rozumiem. Ale w Pradze, Dreźnie? A nawet w Paryżu?

Czy to nie mnie w Dreźnie w 1972 roku zaczepili na Leningrader Strasse dwaj żołdaci na przepustce: kuda nach Ring? Czyż to nie w Pradze, pod koniec sierpnia

1978 roku, niedaleko baru „Świat”, zapytała mnie miła staruszka o jakąś ulicę, a ja odpowiedziałem durnowato, że nie znam i zaraz się zawstydzilem, że to wcale nie po czesku? A o co pytała filigranowa Japonka we wrześniu 1980 roku w Paryżu? Czy nie o grób Napoleona? Tak, byliśmy w pobliżu wieży Eiffla.

A niedawno w niedzielne przedpołudnie przechodziłem obok budowanego od roku podziemnego parkingu: nic nie widać, za drucianą siatką betonowe słupy i wystające druty. Nie tylko ja się przyglądam betonom, beczkom i baraczkowi. Ile się tam pomieści aut? Sto? Dwieście? Są jeszcze wolne miejsca i też mógłbym – gdybym miał samochód – wydzierżawić dziesięć metrów kwadratowych.

– Pan tu pilnuje? – pyta mężczyzna w wytwornej, kraciastej marynarce i białej koszuli. Czy miał krawat? Chyba tak. Ja? Dlaczego się zdziwiłem? I tak było to pytanie wytworne, bo przecież usłyszałem w zimie od sąsiada, że wyglądam w tej zielonej kurtce, kupionej za grosze w szmaciarni, jak stróż.

(98)

Zdańka wczesnojesienne '88 i środkowozimowe '99

Zamiast podstarzałego (przedwcześnie, przedwcześnie) pijaczka, wrzeszczącego pod oknem: buuuuuuteeeeeeeelkiiii kuuuuupuuuujeęęęę, pojawia się teraz co kilka dni kilkuosobowa ekipa młodych byczków. Nie krzyczą; po prostu przed mikrobusem puszczają taśmę: okrągłe stoły kupujemy okrągłe stoły kupujemy... Widzę z balkonu, że sąsiadka z trzeciego piętra za orzechowy okrągły stół (na trzy osoby) otrzymała aż piętnaście rolek papieru toaletowego, szarego (nie dostrzegłem z jakiej wytwórni). A ja pytam bubka, czy interesuje go porządny stół sosnowy, prostokątny, przy którym siedział kiedyś sławny... Czy to może dla obudzonego z wielowiekowego letargu króla Artura, podobno znowu zwołuje rycerzy Okrągłego Stołu? Zjeżdżaj stąd, bucu, takimi dowcipami możesz się podrapać po jajach – mówi jeden z nich, ten z krótkofalówką, jakby mi świstał wtką przed nosem.

(88)

Co się stało z tymi zakupionymi kiedyś stołami? W jakich magazynach można je zobaczyć? Może Muzeum Narodowego w Warszawie? I tak dziesięć lat temu duży okrągły stół zamówiono u stolarzy w Henrykowie (ale nie w tym Henrykowie, w którym cysters Petrus, nieznanący jeszcze przecinka – tylko kropki, zapisał ok. 1270 roku: *day ut ia pobrusa. a ti poziwai* – czyż nie tak anno 1989 powiedział wytwornie kapral Lech do generalissimusa Wojciecha?). Właśnie kilka dni temu zobaczyłem w dzienniku telewizyjnym, podobno autentyczny, wielgachny (na sto osób?) okrągły stół. Toż to stół-atol! Ale nikt z zaproszonych rycerzy nie chciał przy nim usiąść. Podobno korniki przeżarły bukowe nogi, a przecież również miały być dębowe, jak blat. A to blać! Zdrada, zdrada, krzyczą niezaproszeni rycerze króla Artura, stół trzeba spalić, a my wyruszymy wyzwolić Jerozolimę. Raz na zawsze.

(99)

Czyżyki (4)

19. *Nigdy nie byłem w wielkim, ciemnym lesie. Wielkim jak pół Polski i ciemnym jak moje buty. Tylko w laskach, zagajnikach, dąbrowach, które można przejść w ciągu dnia i pół nocy, w resztkach puszczy (także w tej, w której żyją żubry – żyją? raczej są więzione). To gdzie spotkam wilka, niedźwiedzia, lisa? Tylko w baśniach. Chyba lisa widziałem naocznie, kiedyś, przed półwiekiem, pod laskiem dębowo-bukowym. A może tylko we śnie.*

20. *Zdziwiłem się, że wcale mnie nie oczekiwano (to prawda: nie telefonowałem, nie wysłałem depezy). Jak już jesteś, to wejdź (usłyszałem chłodno), tylko zostaw w przedpokoju buty, ostrogi, walizkę i laskę, bo tu wszyscy podpierają się jedynie rękami, a mówi się wyłącznie po łacinie. Uciekłem: zapewne pomyliłem drzwi, choć numer mieszkania się zgadzał.*

21. *W normalnym kraju większość obywateli nie zna nazwiska premiera, a tym bardziej – ministra kultury i sztuki, powtarzają uczeni podróżnicy. Ja jednak zakarbowałem nazwisko prezesa Rady Ministrów, ale tylko dlatego, że to mój (poniekąd, poniekąd) ziomek i (zdaje się) rówieśnik; nie pamiętam natomiast nazwisk aktualnych ministrów. Jak to dobrze: nareszcie żyję w kraju już prawie normalnym. Jakże jednak to „prawie” jest długie.*

22. *Moje czarne buty są jedyne na świecie: zostały zrobione tylko dla mnie (i to za państwowe pieniądze) – solidne, z szerokimi językami, z wysokimi, usztywnionymi cholewkami, z wkładką supinującą, korkowo-skórzaną. Gdybym ci je schowała (żartuje niekiedy strażniczka, zastępująca anioła stróża, a może wcale nie żartuje, tylko mnie sprawdza), nie mógłbyś uciec i wcale nie musiałabym zamykać drzwi na klucz wychodząc do pracy. Jakże się nie bać: nie znam się na żartach.*

23. *Przyśniła mi się po raz pierwszy dwa lata po śmierci. Oto wesoło gawędziła z kilkoma starymi kobietami, też odświętnie ubranymi: ona w jasnofioletowej sukience w czerwone maki, w której widziałem ją ostatni raz, dziwi się, że też tu jestem, w tym dużym pokoju, prawie salonie, daje znak ręką, chyba mówi, że spotkamy się na dworcu, razem pojedziemy do domu. Czekam w holu obok rozkładu jazdy (czy to Gliwice? czy to Wrocław?): mija mnie szybko bez słowa i skręca w prawo (więc to jednak Gliwice), krzyczę: mamó, to nie ten peron, ale chyba mnie nie słyszy, a ja nie mogę jej dogonić, słyszę charkotliwą megafonową końcówkę: odjeżdża do... Pociąg? Chyba. Ja wciąż stoję, a powiniennem popędzić na peron, to tylko kilkanaście schodków w górę.*

Dziennik pisany na kolanie (pod baczным okiem Herkulesa)

Kassel, 22 sierpnia 1998, sobota. Dojechaliśmy bez przeszkód, choć z trzygodzinnym opóźnieniem. W Zgorzelcu czekaliśmy na odprawę graniczną prawie 4 godz. (...) Nikt nie wysiada w Dreźnie, Chemnitz, Gerze; zatrzymujemy się dopiero, gdy już świta, w zajeździe pod Eisenach. To wciąż Enerdowo... Potem już tylko niedługo autostradą frankfurcką; skręcamy w prawo, na północ. (...) Po siódmej obok dworca kolejowego Wilhelmshöhe: och, ledwo wytrzymałem w autobusie. Ale co miałem zrobić? Wysiąść? Sam tego chciałeś, Grzegorz Dyndało, mogłeś siedzieć w domu... A potem przygoda z taksówkarzem-gamonem. Podałem mu kartkę z adresem i trasą przejazdu (über Konrad-Adenauer-Strasse, Stadtteil Brasselsberg). Najpierw, już rozluźnieni, jedziemy główną ulicą, Wilhelmshöher Allee: przed nami – znane mi z widokówek – Kaskady i Zamek. Tam najwyżej – „Herkules”, mówi M. Była tu z T. w zeszłym roku. Niby jesteśmy na miejscu, ale taksówkarz nie może znaleźć domu (dwojga imion) RM, błądzi, zawraca, klnie (szajse, szajse) i ze złością powtarza: niet, niet, choć jeszcze pod dworcem zapytał, skąd jesteśmy, kiwnąłem, gdy odgadł, że ajs Pulen (to chyba w dialekcie heskim). W końcu chciał nas wysadzić: złamał chorągiewkę, widzę zielone cyferki: 28,45 DM. M. coś pokrzykuje, że to nie tu, a ja wtedy ostro: fahren Sie Gänseweide (i palcem wskazuję na kartkę). (...) RM zobaczyła taksówkę z pokoju-salonu: i tak nie spała od piątej. Mieszkanie RM na parterze: dwa pokoje, kuchnia, taras. Z salonu, gdzie nasz tapczan, widok na wschodni Kassel. Gdy jest bezchmurnie, coś tam niżej widać, dachy, drzewa. Kot Fryc (czarny, 16-letni) niedawno się rozchorował, dostaje antybiotyk z tubki: nieco się dziwi (?), nie lubi (mówi RM), żeby go głaskać, najdłużej obwąchuje nasadki moich kul, to jakiś nieznan mi zapach. Zagraniczny. (...) Przed dwunastą – jak umawialiśmy się telefonicznie we Wrocławiu – zadzwonił z Dinslaken Leszek P. Dopiero teraz uwierzył, że naprawdę jesteśmy w Kassel? Bo stale umawiamy się w kawiarni hotelu Ritz w Paryżu: zapewniam go w listach, że codziennie (jak kiedyś Marcel Proust) piję tam kawę o jedenastej. Przyjedzie na pewno, pogadamy, zrobimy zdjęcia po pomniku Grimmów, albo pod „Herkulesem”, jeszcze nie wie kiedy, bo chciałby z Ewą, a ona ma teraz dużo dyżurów... (...) Och, muszę się położyć na tapczanie.

24 VIII, poniedziałek. W nocy łało, przed obiadem można było od czasu do czasu zobaczyć domy w dolnym Kassel. W sobotę wieczorem (i w niedzielę, i dziś rano) dzwonił Leszek: on gaduła, ale opowiada barwnie, autoironicznie, przyjedzie do Kassel na pewno, nie widzieliśmy się 15 lat, tylko nie wie kiedy, bo ktoś musi się zaopiekować 22 kotami i suczką Perelką. W sobotę, gdy odpoczęliśmy trochę, RM zawiozła nas na szczyt Wzgórza Wilhelma (to ponad 400 m n.p.m.): pochmurno, więc Kassel ledwo widoczny. Jakby smog wisiał nad miastem, a to tylko chmury. Staliśmy pod budynkiem, na którego szczycie spiżowca, ponaddwumetrowy „Herkules”. Stoi tu już prawie 300 lat (od 1717 r.!). Niżej kamienne schody i słynne Kaskady, w dole park i zamek Wilhelmshöhe. A poniżej parku zaczyna się Wilhelmshöher Allee, prawie pięciokilometrowa. Na jej końcu – mówi RM – pomnik braci Grimmów. Zawiewa, zaczyna kropić, trzeba odjeżdżać. (...) RM ma auto RENAULT CLIO 1400, z automatyczną skrzynią biegów, musi pamiętać tylko o dwu pedałach: gazu i hamulca. To jej trzeci renault; kupiła francuski samochód, bo był tańszy od niemieckiego, i dla niej wygodniejszy (przyspiesza prawie jak wyścigowy). Tak, nie ma sentymentów, choć

Zakłady Volkswagena w pobliżu, tuż za Kassel, w Baunatal; wczoraj, gdy poszliśmy na spacer, widzieliśmy trzy wysokie kominy i olbrzymie hale. Zjeżdżaliśmy ślimakiem w dół, potem aleją do końca: pustawo, to sobotnie popołudnie. Podjeżdżamy pod Orangerie: to XVIII-wieczny pałac i park, na zewnątrz palmy i drzewka cytrynowe. I one, dwumetrowe, zainteresowały mnie najbardziej: widzę zielone owoce, moje doniczkowe cytrynki nie zakwitły ani razu... W pobliżu, nad Fuldą, podziwiamy z auta rzeźbę Amerykanina C. Oldenburga, „Spitzhacke”. To jedna z prac pokazanych na „documenta” VII (1982), zakupiona potem przez władze miejskie. To wbity w ziemię, powiększony (chyba dziesięciokrotnie) kilof. Herakles rzucił nim ze Wzgórza Wilhelma i upadł nad Fuldą, wyjaśniał ponoć artysta. Znowu kropi: ledwo zdążyliśmy wejść do auta – lunęło, nic nie widać wokoło. Oberwanie chmury? No tak, północna Hesja wyżynna; gdy w sobotę autobus skręcił na północ, wydawało mi się (a M. prawie rok temu), że jesteśmy w Kotlinie Kłodzkiej... Wracamy w deszczu: koniec zwiedzania – i tak za dużo wrażeń jak na pierwszy dzień. Do domu RM spod Oranżerii 9 km. Mieszkanie wynajmuje od prywatnej właścicielki, w białym domu tylko kilka mieszkań: garaż w piwnicy. Kiedyś mieszkała na 8 piętrze, w bloku; kilka lat temu po śmierci męża (właściwie: eks) zdecydowała się przenieść na przedmieście, gdzie spokojnie i dużo drzew. I Fryc może sobie wychodzić z domu kiedy chce: w szybie drzwi kuchennych, prowadzących na taras, specjalny otwór z kłapką. RM mówi, że teraz może sobie pozwolić



na – wcale nie takie nadzwyczajne – luksusy; ma rentę, a zarazem dostaje marki za tłumaczenia. I ona, choć nie chciała, musiała kupić komputer. We Wrocławiu skończyła w 1968 r. studia polonistyczne, w Kassel – dodatkowo germanistyczne; w Darmstadt zdała egzamin państwowy i teraz ma prawo do używania pieczętki: *Dipl.-Philologin u. Übersetzerin*. Tłumaczy z polskiego na niemiecki, z niemieckiego na polski. Czasem i na żywo, czyli jest niekiedy także Dolmetscherin... (...) Wczoraj po obiedzie, gdy się nieco wypogodziło, pojechalśmy na Hauptbahnhof. Ma także drugą nazwę: Kulturbahnhof. Od ćwierćwiecza to jedynie dworzec kolei regionalnej: czytam rozkład jazdy, niewiele odjeżdża stąd pociągów, można m.in. pojechać do Getyngi, to tylko niecałe 40 km. Ileż to zjadliwych zdań w prozie Buczkowskiego o profesorach z Getyngi! Na pl. Dworcowym metalowa rzeźba (instalacja?) Amerykanina J. Borofsky'ego. To „Mężczyzna idący do nieba”. Trzeba wysoko unieść głowę, by go zobaczyć. Rzeźba pokazana na „documenta” IX (1992), wówczas przed Fridericianum. Co 5 lat także na Ku-Ba wiele wystaw w ramach „documenta”, czyli na *światowej wystawie sztuki aktualnej*. Przed dworcem podziwiamy także „Narzeczoną murarza” E. Kuhla: to kawałek muru z cegły szamotowej z naturalnej wielkości „dziurką”. W holu jak w secesyjnym muzeum: niewielu podróżnych, ale można pójść do kina, do kawiarni, do kilku barów i sklepów (kupuję świetny Stadtplan Kassel, 1:15 000). Najpierw na perony (pociąg do Getyngi odjeżdża za 20 min!): hm, ślepe tory jak na wrocławskim Dworcu Świebodzkim. Tor 1 od wielu lat nieczynny: to na nim podczas II wojny zatrzymywały się pociągi z robotnikami przymusowymi, a potem – z Gastarbeiternami. Na ostatnich 50 m, między szynami i podkładami, rosną różnorakie chwasty. To nie bylejakie chwasty; nasiona pochodziły z różnych europejskich krajów: zasiewał je w l. 1990-97 L. Weinberger. Była to jego praca na „documenta” X (1997). Oglądam teraz *Kunstforum*: są zdjęcia i wyjaśnienia, że W. to *Der Künstler-Naturforscher*. Artysta roślinny? Przedłużeniem toru 1 jest restauracja „Gleis 1”: ni to kawiarnia, ni to poczekalnia. (...) Tu możemy się umówić z Leszkiem: bywał na Ku-Ba nieraz, tak mi mówił. (...) Fryc przyniósł dziś żywą mysz do kuchni i czekał na pochwały... Właśnie dzwoni Leszek: już idę!

25 VIII, wtorek. Odpoczywamy: po piątej. Gadamy i odpoczywamy. Właściwie to ja się przysłuchuję. Bo wiele o Wrocławiu, o latach 60. RM była na przełomie kwietnia i maja 98 r. we Wrocławiu: na zjeździe absolwentów polonistyki '68. Jedna z dawnych jej koleżanek przywitała ją serdecznie rydzykiem: Niemcy chcą nas wykupić, ja nic nie mam do ciebie, ale... RM urodziła się podczas wojny pod Nową Rudą; tuż po wojnie zachorowała na Heine-Medinę – i skutki odczuwa do dziś: nie biega, laska jest jej stałą przyjaciółką, od kilku lat korzysta także z domowego respiratora. I ja ją przecież znalazłem we Wrocławiu, choć M. bliżej: przez kilka lat razem mieszkały na sublokatorce, pracowały jako korektorki w wydawnictwie. RM opowiada, że jej dziadek, górnik o pięknym, polskim nazwisku, pochodził spod Katowic; po I wojnie przeniósł się na Dolny Śląsk, ożenił się – jak to mówiono na Górnym Śląsku – z „echt Niemką”. Po przejściu na emeryturę w latach 30. kupił kilk-hektarowe gospodarstwo rolne w Górach Sowich. W 1945 r., gdy zaczęło się wysiedlanie Niemców, dziadek przypomniał sobie, że przecież też mówi po śląsku: uznano go za autochtona. On i jego najbliżsi zostali obywatelami polskimi. Ale i tak jeszcze w 1945 r. wyrzucano go (i jego rodzinę) z gospodarstwa i domu. Ojciec RM nadal pracował w kopalni w Nowej Rudzie (zmarł, jak i dziadek, na pocz. l. 50.). Ani w liceum w Nowej Rudzie, ani na studiach wrocławskich RM nie odczuwała swojej odmienności narodowej: nie ukrywała

swego pochodzenia niemieckiego, ale też nie podkreślała. Raz tylko poczuła się nieswojo, gdy przy kawie, w szerszym gronie, jeden z asystentów językoznawców (było to jeszcze przed marcem 1968 r.) wyznał przyjacielsko, że ten rok polonistyki jest całkiem przyzwyczajony: tylko jedna Żydówka, jeden Niemiec i jedna Niemka (i wymienił wszystkie nazwiska). (...) W poniedziałek wieczorem dzwonił Leszek. Przyjedzie chyba w sobotę. Z Ewą. Ale w jego głosie coraz mniej entuzjazmu. (...) Wczoraj dwukrotnie w śródmieściu (w niemieckim zwyciężyła angielska nazwa: City). (...) RM zaparkowała na Karlspl.: dziś wystąpi u adwokata jako Dolmetscherin. My wstąpiliśmy do „Kaufhofu”. Och, tu ołówki drogie – jeden kosztuje 1 DM. Ceny takie jak u nas, tyle że w markach... Nawet stoiska z napisami: REDUZIERT nas nie zatrzymują. (...) Siąpi. Spacerujemy po największym kaselskim placu: przed nami Museum Fridericianum, tam nieco niżej „Rama” („documenta” VI, 1977): ławki już mokre, nie można usiąść. Na pl. Karola pomnik. Kto to? Landgraf Karl; to on przygarnął 300 lat temu francuskich hugenotów. Nieco dalej: kościół Karola, przez wieki ośrodek hugenotów. Zamknięty. O piątej słyszymy kilkunastominutowy koncert kościelnych dzwonek. Chyba z taśmy. (...) Już sporo kolorowych plakatów wyborczych. A do wyborów do Bundestagu jeszcze niemało tygodni. Nad głową kanclerza Kohla dumne słowa: *Die Weltklasse in Deutschland*. A obok przystanku tramwajowego, już na Königsstr., na portrecie kanclerza dwa dopiski flamastrem: *FETT WEG*, *Ich bin ein Idiot*. *Ges. H. Kohl*. Natomiast szef SPD, po amerykańsku uśmiechnięty Gerhard Schröder, zapewnia: *Ich bin vorbereitet*. RM przekłada: jestem przygotowany. Do objęcia stanowiska kanclerza? Tak. (...) Dziś aż za dużo wrażeń! Najpierw zatrzymujemy się na Brüder-Grimm-Platz. Musimy zrobić kilka fotek pod pomnikiem (nb. b. tradycyjnym, autorstwa E.-M. Wiegand, 1985) Wilhelma i Jakuba G. Jedno wspólne robi nam młody, niewyspany kaselczyk. Mam nadzieję, że Leszek zrobi nam lepsze... Potem w Palais Bellevue; teraz tam Muzeum Braci Grimmów. Oto rękopisy, pierwodruki, ryciny, meble, portrety, edycje zagraniczne (w gablocie także polskie wydanie *Baśni*), ilustracje, mapy... To w Kassel Grimmowie chodzili do szkół, po studiach tu mieszkali; to w okolicach Kassel zebrali sporo baśni, tu przygotowali do druku *Baśnie domowe i dziecięce* (1812, t. 2: 1815). Obok Bellevue – Neue Galerie. Tu zbiory sztuki niemieckiej po 1750 r.; od kilku lat – także obrazy niderlandzkie z Galerii Starych Mistrzów. Najpierw oglądamy na parterze salę J. Beuysa. Na środku sali w trzech rzędach sanki, na których zrolowane koce, latarki. Tylko psów brak. To „Das Rudel”. Czyli „Sfóra”? (...) A w gablotach-klatkach różne dzieła B.: przedmioty, szkice, komentarze, kawałki filmu. To Beuys głosił, że każdy jest artystą? Tu także dzieło „Telewizor”: odbiornik zwrócony ekranem do ściany. Niestety, artyści nikt nie usłuchał. Chodzę, przyglądam się: może kiedyś szokowały, 40, 30 lat temu, teraz po prostu umarły w muzeum. No i brak na sali performerera w kapeluszu. (...) Na I piętrze obrazy naprawdę mistrzów: Rembrandta (m.in. „Błogosławieństwo Jakuba”, „Święta rodzina”, „Starzec ze złotym łańcuchem”), Halsa („Muzykujący chłopcy”, „Mężczyzna w kapeluszu z szerokim rondem”) Rubensa (m.in. „Ekstaza św. Franciszka”, „Wenus, Bachus, Amor i Ceres”). Powaga i tajemnica. Czasem autoironia, jak na autoportrecie Rembrandta (*als Kierger*, 1634). Patrz, patrz – ile minut można podziwiać obraz, gdy obok następne arcydzieło? Gdzie indziej tych obrazów nie zobaczysz: Tak, tak. Nie ma, nie ma „Saskii” Rembrandta: wciąż nie wróciła z Tokio. Kapelusz z piórkiem żony malarza mogą podziwiać jedynie na pocztówce (1 DM). Na I p. także obrazy artystów XX-wiecznych:

przechodzę powoli przez sale (dziesiątki, setki obrazów i małych rzeźb), dłużej zatrzymuję się jedynie przed obrazem M. Ernsta (kwiaty). (...) Och, za dużo obrazów, którym nie można się przyjrzeć dłużej: następne proszą, wręcz błagają, by i na nie zerknąć choć przez kilkanaście sekund... Jeszcze raz do sali mistrzów: już mi się w głowie kręci, a to tylko pierwsze muśnięcie („byłem, widziałem”), a wiem, że chyba już tu więcej nie przyjdę. A może?

27 VIII, czwartek. Och, kiepska pogoda! Wczoraj prawie cały dzień lało, więc nie pojechaliśmy do Muzeum Heskiego. Dzwonił Leszek, że może przyjadą w czwartek, ale to nic pewnego: zadzwoni. Ale przyjadą – dodaje – na pewno. Wczoraj po obiedzie – mimo ołowianych chmur – pojechaliśmy podziwiać Kaskady, czyli „organy wodne” (jak wyczytałem w folderku). W środy – o wpół do trzeciej – spuszczana jest woda ze zbiornika obok „Herkulesa”. Podjechaliśmy na parking poniżej Kaskad: deszcz coraz większy, już grają organy, woda znika w stawie, potem płynie rurami niżej, także sztucznym rzymskim akweduktem, na koniec przed Zamkiem (tego nie zobaczymy) wytryskuje fontanna. Nagle mgła rośnie, nie widać „Herkulesa”! (...) Rano dzwonił Leszek, że może dziś przyjadą, zadzwoni jeszcze po dziesiątej... RM umówiona w „Art of Hair” na Korbacher Str. To dzielnica Niederzwehren: to tu – prawie 200 lat temu – przyjeżdżali bracia Grimmowie i zapisywali bajania D. Viehmann (ma swoją ulicę i tablicę pamiątkową: nazwano ją – w cudzysłowie – „Märchenfrau”). Idziemy w prawo: dobrze zachowane domy szachulcowe. Oto spacerujemy ulicami: Baśni (Märchen), Braci Grimmów, Tomcia Palucha (Däumling). Gdzie zaklęta królewna? Gdzie Czerwony Kapturek? Tylko przed jednym domem widzimy 7 krasnoludków i Śnieżkę. Po uliczce Śpiącej Królowy (Dornröschenpfad) już się nie przechadzamy: to po drugiej stronie Korbacher. W mieszkaniu słyszymy na taśmie głos Leszka: będziemy w Kassel po trzeciej...

28 VIII, piątek. Mniemałem wczoraj, że Leszek nie przyjedzie. Po trzeciej – nie ma. A tu przed czwartą zajeżdża japońska, dyrektorska limuzyna, to samochód służbowy dyrektora Museum of Hysterics. (...) Widzę, że Leszek nabuzowany, za to dr Ewa ubrana po parysku i w świetnym nastroju. Sądziłem, że zaraz pojedziemy do centrum, ale długo przy herbacie i kawie słuchamy opowieści Leszka o kotach, kanclerzu Kohlu, Duisburgu, córce Kajestanie. (...) Nawet nie pyta, co zobaczyliśmy w Kassel. Za to podoba mu się salon RM. I okolica. Także kot Fryc. Gdy po dwóch godzinach wtrącam, że może byśmy pojechali na Friedrichsplatz, Leszek przerywa mi ostro: a po co, tam nic ciekawego, ja to widziałem tyle razy, a tu tak miło... (...) Ale przywiózł aparat; pstrykał na tarasie, pstrykał w pokoju. Wspomina o wystawie, którą urządza mu w 1999 r. BWA w Bielsku-Białej (...) Gadu, gadu, a tu już ósma. Może spotkamy się w Bielsku, może we Wrocławiu, może w Paryżu (w kawiarni Ritz)...(...) Dziś w Hessisches Landesmuseum – tu także gościnnie

Posiadacz niniejszego dokumentu podróży nie jest obywatelem polskim

Владетель настоящего документа не является польским гражданином

Le titulaire de ce titre de voyage n'est pas de nationalité polonaise

*nazwisko i imię
фамилия и имя
nom et prénom*

SERIA DEB NR 0037309

starzy mistrzowie: włoscy i niemieccy. Oglądamy m.in. najbardziej znany po wojnie obraz Dürera („E. Tucher”, 1499). Na poprzednich banknotach (20 DM) podziwiało go wiele milionów (nie tylko zresztą Niemców, sam miałem kiedyś w portfelu 20 marek...) Najbardziej jednak podobały mi się miniaturowe obrazy Cranachów. Potem pod „Rama” – fotki. Z bliska „Rama” (na platformie druga: mała) nazbyt jarmarczna: blachy, liny, nity, spawy odpadająca farba. Dziś obiad specjalny: żurek na kielbasie polskiej, kupionej dwa dni temu w sklepie z wyrobami śląskimi...

30 VIII, niedziela. Już 9 dni poza domem... A wydaje mi się czasem, że w ogóle z Wrocławia nie wyjeżdżaliśmy: rozmawiamy cały czas po polsku, RM przekłada nam napisy, reklamówki, wypowiedzi telewizyjne i radiowe. No i sporo wspominek wrocławskich. W 1999 r. RM wybiera się do Polski: znowu po latach chciałaby zobaczyć strony rodzinne, czyli okolice Nowej Rudy. Jak to było, że nagle wyjechała z Polski? Mieszkaliśmy w pobliżu, a M. któregoś dnia dowiedziała się, że RM wyjechała do Vaterlandu. W połowie lat 70. – po umowie Schmidt-Gierek o „łączeniu rodzin” – pierwsza wyjechała do Niemiec matka RM (zaprosił ją brat). Potem przysłała zaproszenie, ale RM – już wówczas żonie herbowego Polaka, -skiego – kilkakrotnie odmówiono paszportu (zawsze podawano ten sam powód: ze względu na bezpieczeństwo państwa). Ale to nie ona podpadła Wydziałowi Paszportów KW MO we Wrocławiu, lecz kiedyś –ski; wiele lat temu pod Magdeburgiem usiłował przekroczyć zieloną granicę. W końcu obydwójce wysłali list do Rady Państwa, że zrzekają się obywatelstwa PRL i zamierzają wyjechać do Bundesrepublik. Gdy w Biurze Paszportów we Wrocławiu kpt. Kruk wręczył RM „Dokument podróży” (takie książeczki w 1968 r. otrzymywali „emigranci marcowi”), pozwolił sobie na wielce subtelny uwagę: „Niech pani nie myśli, że –ski ożenił się z panią z miłości, wiemy, że tylko po to, by wyjechać do RFN”. I teraz w Kassel czytam: *Posiadacz niniejszego dokumentu podróży nie jest obywatelem polskim*. Na pocz. 1977 r. krótko przebywali w obozie dla przesiedleńców we Friedlandzie k. Getyngi, potem kilka miesięcy w Hombergu, gdzie mieszkała już matka RM. Wybrali Kassel, bo tam zaproponowano im mieszkanie z socjalu i kursy językowe. Herbowy człowiek jednakże się w RFN nie zaadaptował: chwycił się tyłu różnych zajęć i spraw, że... A wódka i piwo takie tanie! A potem, po śmierci –skiego, RM musiała przez kilka lat spłacać jego długi (niemałe, niemałe, dodaje). (...) Wczoraj po obiedzie w Schlosspark Wilhelmsöhe... Nawet słonko świeciło! Trwały przygotowania do wieczornego pokazu ogni sztucznych; sporo kiosków z piwem i kanapkami. Najdroższe: kielbasa „Krakauer” (5 DM) i „Schaschlik” (też 5). (...) Dziś pojechaliśmy (prawie 40 km na południe autostradą frankfurcką) do miasteczka Homberg nad (nie zapamiętałem). Och, i RM pędziła ponad setką! Trwało akurat lokalne święto: zobaczyliśmy przemarsz przebierańców w kolorowych, historycznych strojach, posłuchaliśmy orkiestry. Trójkątny rynek: wokół budynki szachulcowe, nieco wyżej gotycki kościół (tylko M. poszła po stromych schodach zobaczyć wewnątrz). Ruiny zamku (zniszczonego podczas wojny 30-letniej) na szczycie wzgórza: co za wspaniały widok na Homberg i pagórkowatą okolicę! RM nie chciała w Hombergu zamieszkać, bo wszędzie albo w górę, albo w dół. W końcu Kassel to jednak ćwierćmilionowa metropolia, którą opiekuje się Herakles...(…) Dzwonił Leszek. Powiedziałem mu, że jutro w Kassel wiec przedwyborczy CDU (z udziałem kancelerza). Zażartowałem, że chyba się wybierzemy, a on mi stanowczo odradzał: mogą dostać jajkiem w głowę (i zachichotał radośnie).

31 VIII, poniedziałek. Dziś słonecznie, a tu pojutrze wyjeżdżamy. Po śniadaniu pojechaliśmy do centrum; my wysiedliśmy na Karlspl., a RM musiała się pilnie zgłosić do Zollamtu: potrzebna Dolmetscherin. Zatrzymano rano kilku pracujących na czarno Polaków. (...) Spacerujemy po głównej ulicy handlowej miasta, po Königsstrasse: to ciąg dla pieszych, ale trzeba uważać, bo środkiem przejeżdża tramwaj. Tu najdroższe sklepy i domy towarowe. Nawet nie warto wchodzić. M. zagląda do obuwniczych: tyle butów, nie może się zdecydować, a marek w kieszeni też nie za dużo. Znowu widok na Fridericianum i „Ramę” (z daleka wygląda nawet efektownie!). (...) Przed Fridericianum rośnie dąb, który osobiście posadził w 1982 r. („documenta” VII) Beuys, inaugurując słynną akcję sadzenia 7000 dębów w Kassel. Zasadzisz dąb, staniesz się artystą – zachęcał B. Kilka tysięcy drzewek kupił magistrat; niektóre rosną także w dzielnicy baśni, czyli na Korbacher Str. Czy dęby przeżyją pamięć o B.? W encyklopediach można wyczytać, że Beuys to największy po 1945 r. niemiecki artysta plastyk. (...) Na środku owalnego Königspl. niedokończony dzieło G. Langego „Treppe”. Projekt pokazany na „documenta” VIII/1987. Na pl. Królewskim tylko połówka, na drugą zabrakło pieniędzy (a raczej: władze się rozmyśliły). Po co komu niepotrzebne schody? Hm, niepotrzebne? Właśnie o to chodziło: to dzieło sztuki. Nie mogę wejść na górę, na dole policyjny sznurek. To chyba przed wiecem z Kohlem: na placu coraz więcej barierek, policjantów z psami i antyterrorystów z pistoletami. Nie możemy wsiąść do autobusu na Königsplatz: przystanek przeniesiono – akurat dziś – na Mauerstr. Szukamy, czekamy sporo minut; ot, i my, choć raz, przejechaliśmy się autobusem. Jak prawdziwi turyści.

1 września 98, wtorek. Po śniadaniu w megamarkecie. Kilkadziesiąt różnych sklepów, także angielskich, francuskich, amerykańskich, włoskich. Polskiego nie ma. Tu wreszcie M. kupiła buty. Włoskie. (...) Potem na Bahnhof Wilhelmshöhe. M. i RM poszły do sklepu (tu najlepszy wędzony łosoś norweski), a ja zwiedzałem dworzec. Czytam, że za kilkanaście minut odjedzie pociąg ICE do Konstanz. Mógłbym zaraz pojechać nad Jezioro Bodeńskie? Oczywiście, oczywiście. (...) RM przypomniała sobie kilka dni temu, co jej opowiadał niedawno znajomy, przesiedleńca ze Śląska (wciąż lepiej mówi po polsku niż po niemiecku), jak przygwoździł swoją żonę, która wstąpiła do świadków Jehowy i wszystkich zadreńca wizją końca świata: „Ten wasz Jehowa jest gorszy od Hitlera. (Zatkało ją, jakbym ją w pysk strzelił.) Hitler chciał tylko Żydów wytepić, a wasz Jehowa wszystkich, oprócz waszych wyznawców”.

Kassel, 2 IX, środa. Już jesteście spakowani: 11 bajkowych dni minęło, dziś to już (u mnie, bo M. spokojna) Reisefieber... Wczoraj na obiad pizza „Cztery pory roku” (Qartiro Stagioni) z włoskiej pizzerii „Dinos” (na zamówienie telefoniczne). Duża jak talerz: resztki zostały dla kota. A na kolację wczoraj łosoś, sałatka z krabików, loki Schillera... Tak się objadłem, że niemal nie zasnąłem (po szóstej!) przy stole. (...) Czyje to kolorowe dzieła w salonie? To akwarele i pastele. Podarował je RM Michael Wende, lewicujący plastyk. W latach 80. pojechał do Oświęcimia: całą dobę na własne życzenie spędził w zamknięciu w ciasnej celi śmierci. Namalował potem obraz, który podobno kupiło Muzeum Narodowe w Warszawie. (...) Leszek życzy nam przyjemnej podróży. Szkoda, że nie nagraliśmy naszych telefonicznych rozmów: byłaby gruba książka. (...) Och, jeszcze ta nocna jazda... Baj-u-baju, buzi-buzi, będziemy duzi? Nigdy! Zawsze zostaniemy krasnoludkami. ■

Łomnica '98: spotkania pisarzy polskich i niemieckich

1. 20 czerwca 1998 r. będziemy pod Karkonoszami, zanotowałem w kalendarzyku... Gdy we wrześniu 97 r. zadzwonił do mnie Jerzy Łukosz i zapytał, czy wziąłbym udział w spotkaniach autorskich, w których wystąpią razem pisarze polscy i niemieccy (robocza nazwa: Łomnitz-Projekt), wyraziłem wątpliwość, czy podolałbym trudom podróży. Sądziłem bowiem, że chodzi o występ w Bundesrepublice. Oto berlińska pisarka, Ursula Höntsch, ma zamiar urządzić cykl spotkań, w których wystąpiłoby pisarzy niemieccy, urodzeni na Śląsku (lub potomkowie przesiedleńców ze Śląska) i pisarzy polscy, którzy urodzili się na przedwojennych polskich Kresach Wschodnich, a mieszkają obecnie na Śląsku, oraz ci, którzy urodzili się na Śląsku i nieobca jest im problematyka polsko-niemiecka. Pomysł wydał mi się interesujący, wyraziłem zgodę: wszak do Niemiec mogę pojechać autobusem, a po drugie – wcale nie wiadomo, czy zostaną zaakceptowane. Łukosz zresztą zastrzegł się, że on jest tylko pośrednikiem i skromnym doradcą Frau Ursuli.

Dlaczego Łomnitz-Projekt? Chyba ta nazwa nie ma nic wspólnego z hotelem „Łomnitz” w Bytomiu, w którym w 1920 r. mieściła się siedziba Polskiego Komitetu Ple-

biscytowego? A może chodzi o jakąś Łomnicę na Łużycach? Wszystko się wyjaśniło w styczniu 98 r., gdy spotkaliśmy się (czyli siedmioro polskich autorów) we Wrocławiu z Ursulą Höntsch. Oto spotkania odbędą się w Łomnicy k. Jeleniej Góry, w Pałacu Łomnica, od maja do października 98 r. Berliński gość wyjaśnia, że urodziła się kilka lat przed wojną w Stadt Frankenstein (od 1945 r. to Zabkowice Śląskie), wydała kilka powieści i zbiorów opowiadań. Po polsku ukazała się jej powieść pt. **My, dzieci przesiedleńców** (przeł. Halina Białek, Wyd. Dolnośląskie, Wrocław 1993). Tytuł niezbyt zachęcający, ale jest dosłownym przekładem tytułu oryginału (**Wir Flüchtlingskinder**, 1985). Jak pisze we wstępie Adam Krzemiński, w literaturze NRD powieść ta przełamała tabu: po raz pierwszy otwarcie mowa także o niesielankowych okolicznościach wysiedlania Niemców w 1945 r. W powieści Höntsch m.in. grupa legnickich Niemców została wprowadzona na autostradę i kazano im iść na zachód. Czy ktoś czytał to wrocławskie wydanie? Nie, nawet prof. Zawada. Ja natomiast przeczytałem kilka tygodni później. Inicjatorka spotkań przedstawiła nam założenia imprezy tak szczegółowo, z taką precyzją, że pomyślałem później (już w taksówce), że gdyby na jej miejscu siedziała polska organizatorka, to wziąłbym ją za oszustkę (nie tylko ja się nieraz przekonałem, że u nas często

Kim jesteś sąsiedzie?

Ursula Höntsch

Czytania

od maja do października 1998 roku

Brandenburskiego Biura Literackiego w Poczdamie

we współpracy ze Stowarzyszeniem Pielęgnacji Kultury i

Sztuki Śląskiej w Łomnicy.

jedynie oszuści mają opracowany plan ze szwajcarską precyzją i że takich ludzi należy się wystrzegać). Gdy w czerwcu, już w Łomnicy, gdy wszystkie ustalenia zostały zrealizowane co do joty, powiedziałem pani Urszuli o moich myślach, to chyba poczuła się lekko dotknięta, widziałem to po jej twarzy, choć był to z mojej strony niekonwencjonalny komplement. To jeszcze jeden dowód, że trzeba się lepiej poznać.

Dlaczego w Łomnicy? Otóż 5 km na południowy wschód od Jeleniej Góry, w Łomnicy Dolnej, tuż nad Bobrem, znajduje się zespół pałacowo-parkowy (w PRL-u w użytkowaniu przez Państw. Zakład Hodowlany Wojanów). Główny obiekt – dwupiętrowy pałac – to prawie ruina, od kilku lat w remoncie. Natomiast w osobnym pałacyku, w Domu Wdowy, odremontowanym starannie kilka lat temu, mieści się hotel. Jak podaje J. Lamparska (*Tajemnice, zamki, podziemia*, Wrocław 1998) w 1991 r. *zabytki nabyła spółka „Zamek Łomnica”, której przedstawicielami są wnuk ostatnich, niemieckich właścicieli Ilruch von Kürster i jego przyjaciel Wiesław Dzida*. Tak więc w 1998 r. Dom Wdowy gościł 8 pisarzy polskich i 8 niemieckich, a także (na 9 spotkaniu – 31 X) kilku badaczy literatury z Polski i Niemiec.

Spotkania-CZYTANIA (eine LESEREIHE) zostały zatytułowane nieco górnio: *Kim jesteś, sąsiedzie?* Głównym organizatorem było Brandenburskie Biuro Literackie w Poczdamie (Brandenburgisches Literaturbüro), we współpracy ze Stowarzyszeniem Pielęgnacji Kultury i Sztuki Śląskiej w Łomnicy (Verein zur Pflege schlesischer Kunst und Kultur e.V. Lomnitz). Ukazał się dwujęzyczny folder z biogramami uczestników, a współpracujący z Ursulą Höntsch tłumacze przygotowali przekłady fragmentów tekstów, które były czytane w Łomnicy. Spotkania odbywały się zawsze w sobotę. Oczywiście, byłem tylko na jednym, natomiast znam relacje o trzech dalszych (i zawsze były to opinie pozytywne).

Oto skład dwuosobowych drużyn... Wszystkie spotkania prowadziła Ursula Höntsch, a tłumaczem-Dolmetscherem był Paweł Zimniak z WSP w Zielonej Górze. 2 maja 98: Monika Taubitz (Meersburg) i Stanisław Srokowski (Wrocław). 23 maja: Dagmar von Mutius (Heidelberg) i Izabella Skafka-Langier (Nysa). 6 czerwca: Helga Schütz (Potsdam) i Ernest Dyczek (Wrocław). 20 czerwca: Wolfgang Bittner (Köln) i Jerzy Pluta (Wrocław). 12 września: Harald Gerlach (Leimen) i Jerzy Łukosz (Wrocław). 26 września: Christa Kożik (Potsdam) i Mirosław Spychalski (Wrocław). 10 października: Henryk Bereska (Berlin) i Stanisław Bieniasz (Zabrze). 24 października: Bodo Heimann (Kiel) i Andrzej Zawada (Wrocław).

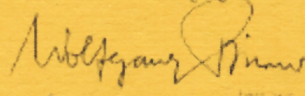
2. 20 czerwca 98 r. na dworcu autobusowym w Jeleniej Górze byliśmy z M. po dziewiątej. W dworcowym baraku-kawiarni popijaliśmy kawę-lurę, a w tym samym czasie we wrocławskim Ratuszu Gerhard Glogowski, Minister Spraw Wewnętrznych Dolnej Saksonii, czyli jednego z landów RFN, wręczał Nagrodę Kulturalną Śląska, przyznawaną przez rząd tego Kraju od 1977 r. twórcom RFN, wywodzącym się ze Śląska, a od 1991 r. – także polskim, mieszkającym na Dolnym i Górnym Śląsku. I ja w maju dostałem z Hanoweru zaproszenie na uroczystości w Ratuszu (chyba laureatka główna podała moje nazwisko). W zaproszeniu m.in. jakże zachęcające zdanie: *Po uroczystości zaprasza Dolna Saksonia Panią/Pana w ratuszu na przyjęcie* (zob. Collage polonais-allemand). Nagrodę główną otrzymała Urszula Koziół (jeszcze raz gratulacje!), a wyróżnienia: Ekkehard Kuhn, Karin Reschke i Paweł Kozerski. W 1994 r. nagrodę główną otrzymał Różewicz. Przebieg uroczystości mogłem obejrzeć kilka dni później w telewizji wrocławskiej (niestety, z bankietu tylko migawki). I jak było? – zapytałem Ernesta Dyczka. Jak to na bankiecie, nic nadzwyczajnego: kawior, łososie, pieczono-

ne bażanty, rolady śląskie, wina reńskie i wło-
skie, wódka, piwo, żurek śląski, gęś z jabłka-
mi, a także krupnioki... W wydanym z tej oka-
zji wytwornym albumie (niestety, jak w katalo-
gu różewiczowskim, sporo tu w wersji pol-
skiej językowej niechlujności) podano m.in.
wykaz laureatów głównych, specjalnych, po-
pierających. Dowiedziałem się, że laureata-
mi głównymi byli m.in. wywodzący się z Gór-
nego Śląska pisarze: Horst Bienek (1978) i
Heinz Piontek (1991). Wczytałam także
(oczywiście już we Wrocławiu), że w 1979
nagrodę popierająca (Förderpreis) otrzymał
Wolfgang Bittner.

3. 20 czerwca po dwunastej byliśmy w Łomni-
cy. Ile osób przyjedzie na nasze spotkanie?
Przypuszczałem, że H. na pewno (nie zawiódł
i potem po czytaniach zadawał pytania). O pią-
tej – niestety – tłumów nie było... Akurat trans-
misja z piłkarskich mistrzostw świata we Fran-
cji – samouspokajająco mówiła p. Urszula po
czwartej. Dowiaduję się, że ona często przy-
jeżdża do Polski; o wiele lepiej zna polski niż
ja niemiecki, mogę więc „porozmawiać” z nią
ni to po polsku, ni to po niemiecku. W Domu
Wdowy na parterze restauracja (m.in. z potra-
wami śląskimi – i mnie smakował żurek i klu-
ski śląskie), a na I piętrze – biblioteka Stowa-
rzyszenia Pielęgnacji Kultury Śląskiej i kame-
ralna sala odczytowo-koncertowa. Po obiedzie
poznałem współbohatera spotkania: Bittner
mieszka w Kolonii, to typ życzliwego profesora,
ale patrzącego na studentów z dystansu. Wy-
mieniamy przed występem kilka zdań. Gdy
mówię, że znam deutsch etwas, a angielskiego
w ogóle nie (hm, nie ma jeszcze tłumacza), to
potem mogliśmy jedynie podziwiać otoczenie.
A dlaczego nie uczyłeś się niemieckiego i
angielskiego? – podszcypuje mnie M. Spotka-
nie jest rzeczywiście polsko-niemieckie: i za
stołem, i na widowni. Na sali mikrofony: to eki-
pa jeleniogórskiej redakcji PR we Wrocławiu
nagrywa nasze słowa (dla potomności). Nie
wiem, jakie fragmenty naszych tekstów i wy-
powiedzi nadano – nikt ze znajomych chyba

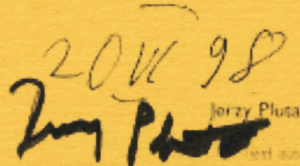
nie słuchał i mi nie powiedział. Najpierw Wol-
fgang Bittner, urodzony w 1941 r. w Gliwicach,
wysiedlony z rodzicami w 1945 r., przeczytał
fragment powieści **Niemandsland** (Leipzig
1992). Właśnie fragment o gliwickim dzieciń-
stwie i kilku powojennych latach, już w Dol-
nej Saksonii. Potem ja przeczytałem te same
zdania po polsku, przełożone przez Hannę Kro-
gulską. Wreszcie i moje pół godziny. Bittner
czyta po niemiecku (tłum. Charlotte Eckert)
moje opowiadania: „Wieszaki” (z tomu **Konie
przejadają Polskę**, 1974), „Drewniany wie-
szak «Dyckhoff Breslau»” (z z. 5 **Przecinka**) i
„Gdzie mieszka prezydent Bolesław Bierut”?
(z tomu **Stacja metra: Franz Kafka**, 1994).
Potem ja oryginały...

Wolfgang Bittner


Ist aus
„Niemandsland (Roman), 1992

Wolfgang Bittner, 1941 in Gliwitz geboren; Auswanderung 1945,
Aufwachen in Ostfriesland, Studium der Rechtswissenschaft,
Soziologie und Philosophie in Göttingen und München;
Promotion 1972; Bis 1974 verschiedene Tätigkeiten; Ausleit alle
in Vancouver, Mexiko, Kanada

Wolfgang Bittner schreibt Erzählungen, Lyrikdichtung und
Kultur-essays seiner Bücher wurden in mehrere Sprachen
übersetzt; Mehrere bei Zeitungen und Zeitschriften, beim
Radio und Fernsehen erhielt mehrere Literaturpreise.


Ist aus
„Die Handfäße und Emma Dyckhoff
Breslau“ (Erzählungen) 1974, 1999
Aus dem Polnischen von
Charlotte Eckert

Jerzy Pluta, 1942 in Kraków (bei Gliwitz) geboren.
Seit 1961 wohnt in Vörschew/Breisau; Studium der
polnischen Philologie an der Universität Wrocław; bis 1965
Promotion 1972; Jerzy Pluta schreibt vor allem Prosa und
Literaturkritiken; 1967 debütierte er mit Erzählungen in
verschiedenen Zeitschriften; es folgten mehrere
Erzählungsbände; Romane und über hundert literarische
Texte

Seit 1993 ist er Redakteur und Herausgeber der literarischen
Zeitschrift „Kortina: Kleine Prosa und Marginalien“; Erweitert den
Stanisław Piłsudski-Literaturpreis und den Kościuszko-Preis

W dyskusji Ursula H. zapytała nas m.in. jakie okolice uważamy za nasz Heimat. Bittner powiedział, że dopiero w ostatnich latach „rekonstruował” sobie gliwickie lata. O Gliwicach pisał tylko raz, właśnie w powieści **Ziemia niczyja**. Kilka lat temu odwiedził rodzinne miasto, później otrzymał kilka zaproszeń na imprezy kulturalne, chyba się jeszcze kiedyś wybierze nad Kłodnicę, ale jego Heimat to wschodnia Fryzja, gdzie spędził szkolne lata. Bittner jest autorem ponad 30 książek, głównie dla dzieci i młodzieży, ale także poważnych rozpraw: **Bist Du es, Gott?** oraz **Kirche, wo bist Du?** A ja? Właściwie mieszkalem dotąd tylko w dwóch regionach: w Gliwickiej Krainie i we Wrocławiu. Też jestem poniekąd przesiedleńcem: z wyboru. Góry Śląsk to kraina jakby za górami, za lasami, choć mogę pojechać w strony rodzinne w każdej chwili. Tamtej krainy sprzed pół wieku, sprzed 40 lat, już nie ma...

Być może w 1999 r. ukażą się w Berlinie w osobnym tomie wszystkie czytane w Łomnicy wiersze, fragmenty prozy i esejów: po niemiecku i po polsku. O ile – mówiła p. Ursula – uda się jej zdobyć kilka papierków z podobiznami braci Grimmów. Warto było pojechać do Domu Wdowy? Oczywiście.

PS. Do dziś gnębi mnie treść zalecenia w łazience pokoju, w którym nocowaliśmy. Oto obok umywalki takie zdania (także po angielsku i niemiecku): *Szanowni Goście! Mając na uwadze ochronę środowiska naturalnego prosimy o pozostawienie ręczników przeznaczonych do wymiany na podłodze*. Niby rozumie, ale tylko ćwierć...

Bliżsi są mi pisarze z obiektywami wąskokątnymi...

(dokończenie ze s. 2)

– Powiem tak: jest tych nurtów tyle, ilu jest wybitnych pisarzy. Od kilku dziesięcioleci mają Niemcy kilku olbrzymów, którzy niezmiennie nadają ton w literaturze. Żaden Pa-

trick Süskind nie zagraża tym koryfeuszom. Z żyjących to przede wszystkim Günter Grass, w jakimś sensie postać sztandarowa; każda jego nowa książka, mimo kontrowersyjności wśród krytyków, ukazuje się w setkach tysięcy egzemplarzy. Drugim takim olbrzymem jest Martin Walser, co prawda pisarzem moim zdaniem nie takich lotów, co jego szwajcarski imiennik, Robert Walser, który był genialnym prozaikiem (choć nieszczególnym powieściopisarzem). Ani nawet nie tak utalentowanym jak jego córka Johanna Walser. Trzecie nazwisko to Siegfried Lenz, znany również dobrze w Polsce, choćby z „Lekcji niemieckiego” i „Muzeum stron rodzinnych”. Gdyby dołączyć nieżyjącego Bölla, to mielibyśmy sakramentalną, „kanoniczną” czwórkę. Ponadto można wymienić Enzensbergera, Eicha, Weissa. Nie wspominając już o Brechcie, Johnsonie, Jüngerze. To byłiby ci, którzy towarzyszą – mówiąc górnolotnie – głównemu nurtowi niemieckiego życia narodowego. Czas pokaże, czy to rzeczywiście szczyty słowa pisanego po niemiecku po wojnie.

– A inni? W Polsce tworzy ponad tysiąc pisarzy, w Niemczech chyba ponad pięć tysięcy...

– Handke napisał kiedyś esej (a może był to wywiad-rzeka) pt. „Ale ja żyję tylko z międzyprzestrzeni”. O ile ci wielcy żyli w przestrzeni, to on, i nie tylko on, żyje z międzyprzestrzeni, z tego wszystkiego, co jest w świecie, nie tylko w niemieckich krainach, i gdzieś tam – daleko i blisko – szuka źródeł dla swego pisarstwa. Mówi się o epikach, że mają obiektywy szerokokątne, że tworzą panoramę społeczeństw. Mnie bliżsi są pisarze z obiektywami wąskokątnymi, bo oni mają dostęp do wewnętrznej rzeczywistości człowieka, do siebie – intensywniejszy, bogatszy... Wymienię tylko Marię Luizę Kaschnitz, Gabriellę Wohmann i Christopha Rausmayra.

– Ja też wolę wąskokątnych... To temat-rzeka: to moja wina, bo właśnie najpierw powinienem zapytać o pisarzy Panu najbliższych, a tu filiżanka pusta: danke schön.

Nie zdążyłem przeczytać (po raz drugi i trzeci)

W grudniu 98 r. ukazał się w księgarniach kolejny – tym razem prozatorski – „Hauptwerk” Andrzeja Falkiewicza: **Ledwie mrok** (Wyd. Dolnośląskie, Wrocław 1998). Ponad 500 stron! Nie zdążyłem napisać nawet kilku zdań: dopiero jestem po pierwszej lekturze. Wypowiem się w ósmym *Przecinku* – po trzeciej, ale już teraz wiem: to dzieło i przeraża, i odpycha, i przyciąga... Czy nie tak działają narkotyki? Jeśli tak, to niewątpliwie jest to groźna książka: jakże ja się boję nie tylko hery, ale i zwykłej maryški...

Nie ma wciąż „Słoi zadrzewnych” w księgarniach

Chyba byłem nadmiernym optymistą zapowiadając w z. 6 *Przecinka*, iż we wrześniu 98 r. można będzie kupić w księgarniach **Słoje zadrzewne** Tymoteusza Karpowicza (Wyd. Dolnośląskie). Oto do końca 98 r. nie nadeszła wciąż

z Chicago do Wrocławia autorska korekta zbioru, bo... Bo Poeta nadal pracuje nad tekstem, czyli wciąż się zastanawia nad każdym słowem, a także nad układem graficznym. Bo... (ale to już inna historia). Kiedy napisze: *imprimatur*? Praca nad tekstem: jak to przewrotnie brzmiało w czasach PRL. Nad tekstem „pracowali” redaktorzy wydawnictwa, a nad tekstem „przepracowanym” jeszcze raz „pracowali” cenzorzy. Teraz redaktorzy nie chcą poprawić w maszynopisie nawet oczywistych błędów (np. ortograficznych): od tego są korektorzy.

Wiersze Leopolda Buczkowskiego

W czwartym *Przecinku* (1997) zacytowałem m.in. fragmenty listu Tadeusza Buczkowskiego, w którym mowa o maszynopisach wierszy jego ojca. To w *Przecinku* ukazał się po raz pierwszy wiersz „Kopeć knota”. Nieznany mi wierszami autora **Czarnego potoku** zainteresował się toruński polonista Sławomir Buryła, który (wraz z Radosławem Siomą) przygotował do druku

Nic mi nie dali

Widziałeś? Widziałem.

Bo ja nie. I co? A sio...

*Malkontent! Widziałem obrazy w Centre Pompidou, grafiki
to ciekawostki...*

Fe, kosmopolita!!



bilet
wstępu u
1
9
0
w
y
5 zł.

zestaw ponad 30 wierszy. Dotąd kilkanaście wierszy Buczkowskiego ukazało się w *Przeglądzie Artystyczno-Literackim* (1998, nr 10 – hm, tu także „Kopeć knota”, ale bez wzmianki o pierwodruku w *Przecinku*) i *Twórczości* (1999, nr 2). Edytorzy zwracają uwagę, że większość wierszy ma charakter brulionowy. Oczywiście, nie są to rewelacje poetyckie, ale każde zdanie wybitnego pisarza (nawet brulionowe) ma swoją wagę. Autor *Wertepów* był niewątpliwie pod urokiem poetów awangardowych, podpatrywał również i autentystów, i drugoawangardzystów. Pamiętam, że Buczkowski wspominał kilka razy, że przed wojną opublikował kilkanaście wierszy; dotąd poloniści odnaleźli dwa, drukowane pod pseudonimem w 1936 r. w *Gazecie Polskiej*. W „Spojrzeniu” (*Twórczość*) zaskakująca puenta:

*Zatkaj szparę między drzewami.
Niech poranek opóźni się
O pół twojej młodości...*

Dodam także, że Zygmunt Trziszka przygotował do druku nieznanne fragmenty „prozy żywej” Buczkowskiego (*Regiony* 1998 r., nr 1-3). Mam nadzieję, że tom trzeci prozy mówionej Leopolda Buczkowskiego ukaże się jeszcze w tym wieku.

Józef K. po procesie

Na s. 4 okładki z. 6 *Przecinka* zamieściłem m.in. wycinek (nie pamiętam już z jakiej gazety) „Kafka ma swój proces”, a właściwie tylko tytuł, nadtytuł i podtytuł. Zapomniałem rychło, kto czeskiego StB-eka o literackim nazwisku oskarżył o tortury; teraz już nie zapomnę, bo mam wycinek z sierpnia 98 r. Praski sąd skazał Josefa Kafkę na symboliczną niemal karę. „Grzywna za tortury” – czytam w *Gazecie Wyborczej* (1998, nr 198): *50 tys. koron, czyli 5 tys. zł zapłaci były esbek za torturowanie dysydenta, pisarza i piosenkarza Vlastimila Trzeshniaka*. Nazwisko czeskiego autora nic mi wcześniej nie mówiło, ale oto na moim biurku leży mikropowieść **Romulus i Romus** (przekład Piotr Godlewski, Świat Lit., Izabelin 1998) i mogę przeczytać, co też napisał „podopieczny” Józefa K. Tak, Trześniak jak najbardziej słusznie domagał się sprawiedliwości (która nb. z niego zakpiła), ale gdy czytam **Romulusa i Romusa**, to o „przygodach” autora z Kafką muszę zapomnieć. No tak, jeszcze raz się potwierdza, że biografia i dzieło to odrębne światy: oto świetny życiorys, a dzieło – ot – takie sobie. Ileż takich przypadków w Polsce w ostatnim ćwierćwieczu? Niemało, niemało. Biografiami nich się zajmują hagiografowie, natomiast czytamy dzie-

*Hm, czy Mrozek by
to wymyślił?*

Przecinek

Małe prozy i marginalia Jerzego Pluty

Wydawca: Usługi Wydawnicze Ernest Dyczek

Adres: c/o Jerzy Pluta, Zielińskiego 43 m 10,
53-553 Wrocław

Telefon: (0-71) 617539

Jestem studentką piątego roku polonistyki Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Kielcach i moim zadaniem jest napisanie pracy magisterskiej na temat życia i twórczości współczesnej literatki Pani Ewy Nowackiej. Czy mogli by Państwo udzielić mi jakichkolwiek informacji na Jej temat lub podać adres pod którym można się z Nią skontaktować?

*odpowiedź: 5 lutego 09
uchwiliem informację: 5 lutego 09
— Dziękuję, nie obrażam...*

Z wyrazami szacunku

to tak, jakby zostało napisane przez autora anonimowego. Czy to możliwe? Niestety, nie.

Nie Henryk Wolniak, lecz Henryk Wolny!

W z. 5 *Przecinka* (s. 13) ukazała się notka („I we Wrocławiu zaraza?”), że ponoć przy Oddziale SPP we Wrocławiu powstało Koło Masonów, a prezesem został Henryk Wolniak (poeta i prorok). Pragnę przeprosić i Czytelników, i Henryka Wolniaka, prezesa Towarzystwa Wolnistów.

Wiadomość nie była całkiem dokładna. Oto red. Piotr Czyżyk mylnie odczytał nieco wymiętoszony fax (otrzymał za to naganę bez wpisywania do akt). SPP to nie Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, lecz... Stowarzyszenie Polskich Pogan. Hm, hm, dotąd dochodziły do mnie głosy (także z ust Prymasa Glempa) o neopoganach, a teraz stowarzyszają się poganie (zresztą zgodnie z ustawą o stowarzyszeniach). Ale czy to prawdziwi poganie, czy tylko tak zwani? Nie wiem... A prezesem Koła Masonów przy Wrocławskiej Odnodze (!!) Stowarzyszenia Pol. Pogan jest Henryk Wolny (malarz niedzielny i

taternik). Natomiast prawdziwą okazała się wiadomość, że wrocławscy masoni spotykają się m.in. przy piwie w pubie irlandzkim „Guinness” (Wrocław, pl. Solny 5). Każdy może dosiąść się do stolika i posłuchać poważnych dysput. I ja tam byłem i piwo (na rachunek faceta w skórzanym fartuchu) piłem... Zapewniam jednak, że okocimskie smaczniejsze.

Kim jest?

Kim jest ten tajemniczy mężczyzna (zob. prawe skrzydełko okładki)? Nigdy się nie dowiem. Oto w Paryżu, tuż obok Łuku Triumfalnego, 27 września 1980 r. wieczorem zeszedłem z M. na stację metra „Charles-de-Gaulle-Etoile”. Postanowiłem zrobić sobie kolorową fotkę w automacie. Wrzuciłem kilka monet (chyba 6 FF): błysk, zgrzyt i nic... Co robić? Co się robi w takim przypadku we Wrocławiu? Też mamy automaty. Już sobie przypominałem: oto grzmotnąłem pięścią w bok automatu. Cisza. Jeszcze raz: buch! Nikt nie widzi, bo przecież zasłonka, a przed budką stoi M. Zazgrzytało, zajęczało, a potem wypadła fotka nieznanego mężczyzny. Gdy uderzyłem po raz trzeci, to i moja. Wzią-

**Zamiast podróży do Pragi, pocieszam się jizdenką z 1992 r.
Czy Praha jeszcze stoi? Ano, ano. Česko-Slovensko przecież leży...**



DOPRAVNÍ PODNIK
HL. M. PRAHY



80,- Kčs

TURISTICKÁ SÍŤOVÁ JÍZDENKA

JMÉNO DRŽITELE

DATAUM VYDÁNÍ

Jerzy Pluta
11 9 1110 1992

PLATNÁ 4 DNY
OD DATA VYDÁNÍ

CENA Kčs



lem obydwie. A nuż spotkam go (Japończyka?) w Ogrodzie Luksemburskim? Zerknąłem na zdjęcie latynoskiego Amerykanina (?): och, takie zaciśnięte wargi. Taki przejęty? Może też – jak ja – pierwszy i ostatni raz w Paryżu? Nigdy się nie dowiem.

I „Przecinek” ma swoje pięć sekund!

Na moim biurku z. 6 *Przecinka* zobaczyłem 18 sierpnia 98 r. Wyjeżdżając kilka dni później do Kassel mogłem zabrać 2 egz. dla niemieckich czytelników. Po kilku tygodniach sądziłem, że szóstka przepadła: otrzymywałem znacznie mniej niż poprzednio listów. Oto (pod koniec 1998 r.) wydanie 3 katalogu **Czasopisma kulturalne w Polsce** (Fundacja im. S. Batorego) ukazało się jedynie w wersji elektronicznej. Po raz pierwszy także *Przecinek* został odnotowany w katalogu internetowym (<http://www.batory.org.pl/katalog>). Zreprodukowana została również okładka z. 6. Mile zaskoczony byłem notą. Pewien znajomy zapytał, czy sam to pisałem... Nie. Owszem, odpowiedziałem na ankietę autorów katalogu, ale w nocy ani jednego mojego słowa. Ile osób skorzysta z internetowego katalogu? O kilkunastu wiem, bo do mnie napisały.

Natomiast *Słowo Polskie* (nr 295 z 17 XII 98) już po raz piąty poleciło czytelnikom kolejny zeszyt *Przecinka*. W oczu rzuca się duża (12 x 8 cm) reprodukcja okładki. Barbara Sola („Być realista”) dodaje „*Przecinek*” jest chyba jedynym w tej części Europy pismem autorskim. Nie wiem, w Polsce na pewno.

To chyba Andy Warhol popisywał się bon motem, że każdy artysta z nazwiskiem ma swoje pięć minut. A czy każdy artysta anonimowy też ma swoje pięć sekund? Nie zawsze. W styczniu i lutym 99 r. niewątpliwie i *Przecinek* miał swoje pięć sekund.

Oto najpierw w *Gazecie Dolnośląskiej* (19 I 1999, nr 15 – nakład: 40 111 egz.), czyli wrocławskim dodatku do *Gazety Wyborczej*, ukazała się *opowieść o najmniejszej redakcji świata* Leszka Pułki pt. „Trochę większe życie”, z miniaturą reprodukcją okładki z. 6 i dużym kon-

terfektem autora naczelnego (autorstwa Leszka Przyjemskiego – to jedna z fotek kasselskich, vide: „Dziennik pisany na kolanie”), później w wydaniu ogólnopolskim *Gazety Wyborczej* (8 II 1999, nr 32 – nakład: 640 tys. egz.) w wersji nieco skróconej pt. „Świat w przecinku”, również ze zdjęciem (choć tylko formatu legitymacyjnego) i reprodukcją okładki. W wersji warszawskiej, zamiast o najmniejszej redakcji świata, czytamy: w Polsce. Tak, nie należy przesadzać. Oczywiście, zostałem (mimo pewnych drobnych nieścisłości, np. uwagi o papierze, i kilku przykrych literówek) niezwykle mile „opisany”: merci, merci. Co prawda Leszek Pułka wybrał taką formę (nadmierne wykorzystanie mowy niezależnej, czyli moich wypowiedzi, które wierne oddają sens, lecz nie zawsze mój sposób mówienia), która pozwala na zachowanie pewnego dystansu wobec przedmiotu opisu, lecz zarazem – podpowiada mi red. P. Czyżyk – jak dotąd jest to najobszerniejsze i najbardziej życzliwe (i w takim nakładzie!) omówienie przedsięwzięcia literackiego pt. PRZECINEK. I oto nagle ponad milion czytelników *Gazety Wyborczej* dowiedziało się o istnieniu *Przecinka*! Hej ho, gdzie by się szło? Nie mam wyjścia: po takiej prezentacji kilka następnych zeszytów *Przecinka* musi się ukazać, nawet gdybym miał się zadłużyć... Bo na wydawcę-mecenasa już nie liczę. *Przecinek* pozostanie przecinkiem, czyli zagubioną igłą w stogu siana: kiedyś siano zgnije, igłę być może można będzie wyłowić magnesem... Zaskoczył mnie pewien kolega pisarz. Co się stało – zastanawiał się smutno – wiesz przecież, że Leszek Pułka w pewnych kręgach teatralnych i literackich ma opinię niepoprawnego zoila, a tu nagle tak, aż nadmiernie (nie obraź się!), pochwalny tekst o *Przecinku*. A może Warszawa zamówiła? – podpowiedziałem. Warszawa? Chyba żartujesz, myślisz, że ktoś o tobie słyszał w Warszawie? Oczywiście, że nie – dodałem pojednawczo i mogliśmy się rozstać w zgodzie...

Dopisek Piotra Czyżyka. Dodam, że Szefa mogli przez kilkadziesiąt sekund obejrzeć (i posłuchać) widzowie „Magazynu Aktualności Kulturalnych” w sekwencji PRZECINEK (TV

Wrocław, pr. II, 5 II 99, 17:41-17:46, przyg. Paweł Czuma). Hm, Szef mówcą (mówiąc eufemistycznie) nie jest najlepszym, za to później Jacek Łukasiewicz mówił tak przekonująco o *Przecinku*, że gdybym nie był jego redaktorem, to bym natychmiast pobiegł na miasto szukać najnowszego nru.

Pamiętać i opowiedzieć: tak było

To znakomita książka prozatorska! A zarazem takie określenie jest nazbyt niejasne, niepełne i poniekąd umniejszające jej przesłanie. Bo to przecież coś więcej niż literatura, to jedno z najbardziej wymownych świadectw o czasach Holocaustu, które powstało ponad pół wieku PO (jak podaje autor, wcześniej nie byłani *psychicznie, ani pisarsko (...)* gotowy). Czyż autor nie może powtórzyć za bohaterem wiersza Różewicza „Ocalony”: *ocalalem/ prowadzony na rzeź?* Fragmenty tej książki drukował Michał Głowiński w czasopiśmie; już wówczas zwróciły nie tylko moją uwagę. Nie były to bowiem zapiski nieznanego autora, lecz wybitnego badacza literatury i nowomowy, który opowiada/wspomina o swoich okupacyjnych latach w getcie warszawskim, potem po „aryjskiej stronie”. A propos: czyż zwrot po „aryjskiej stronie” nie jest pogrobowym zwycięstwem Goebbelsa? **Czarne sezony** (Open, Warszawa 1998) są książką poruszającą (i porażającą) także dlatego, że mamy pewność, że są i zmaganiem z pamięcią (*Piszę o tym, co zapamiętałem, a gdy czegoś nie jestem pewien, otwarcie o tym wspominam*), i zmaganiem z własną nadświadomością literacką. O czasach Zagłady ukazało się tysiące książek na całym świecie. Ile wśród nich relacji dzieci? Głowiński ewokuje epizody sprzed lat: wybiera zawsze jakieś konkretne zdarzenie, opisuje je z podwójnej perspektywy: i dziecka, i dorosłego. Znamienne wydają się też wtręty autotematyczne, jeszcze bardziej uwiarygodniające opisywane straszne dni, miesiące i lata. Można by odnieść do całej książki zdanie autora dotyczące epizodu ze szmalcownikiem, że w *opowieści (...)* nie ma (...) ani grama fikcji, nie ma *fabularnych konceptów*. Bo gdy się czyta takie książki jak **Czarne sezony**, to niejako warun-

kiem wstępnym ich właściwego odczytania, przeżycia i zrozumienia jest całkowite zaufanie do autora. Głowiński zмага się więc nie tylko z własną pamięcią, lecz także ze stereotypami literackimi, które mogłyby zakłócić czyste spojrzenie. Pojawiają się w **Sezonach** i Polacy pomagający Żydom, i obojętni, i szmalcownicy, i dobre zakonnice, i ksiądz antysemita. Weale się nie dziwię, że **Czarne sezony** powstały dopiero w ostatnich latach. To przed wojną mądrze zauważył Irzykowski, że prawdziwa autobiografia jest zawsze pewnego rodzaju bohaterstwem. Może kiedyś przeczytamy książkę Głowińskiego o czarnych sezonach marcowych? Taką osobistą i bez cenzury (wewnętrznej).

Opowiadać: tak mogło być

Równocześnie z **Czarnymi sezonami** ukazała się inna znakomita książka Michała Głowińskiego, czyli **Przywidzenia i figury** (Małe szkice 1977-1997, Wyd. Literackie, Kraków 1998). Jest to książka – moim zdaniem – bardziej wyrafinowana literacko, ujawniająca wysoki kunszt prozatorski, niż **Czarne sezony**, lecz zarazem wskazuje ona na słabości Literatury (przez duże L). **Czarne sezony** przemawiają do serca i rozumu czytelnika przede wszystkim treścią (nad formą mniej się zastanawiamy) i przekonują, że są czymś więcej niż tylko „literaturą”. Pamiętam, że już w *Tekstach* (w l. 1980-81) zachwyciły mnie m.in. dwa małe szkice: „Monolog Gregora Samsy” i „Epizod z życia artysty”. „Monolog” tak mnie zachwycił, że napisałem żartobliwo-ironiczne „Monologi na wietrze” (vide – **Stacja metra: Franz Kafka**), a w przypisie przytoczyłem... cały utwór Głowińskiego. W **Przywidzeniach i figurach** są i małe prozy, i poematy prozą, i ezopowe szkice, i teksty pastiszowe, i autoironiczne. Czyż mógłbym nie wspomnieć o „Odzie do torby (na ramieniu)”? A zarazem po lekturze **Czarnych sezonów** jakże lepiej rozumiem takie choćby utwory jak „Czarna odyseja”, „Wywiozą cię do Treblinki”, „Moja Matka odchodzi także w snach”. Chyba na korytarzach IBL-u badacze „ja” lirycznego nie szepczą: „I pan, profesorze, wśród poetów”?

Książki nienadesłane...

Maria Lis, **Wielcy i sławni pochodzenia polskiego**, Komitet Obrony Dobrego Imienia Polaków i Polonii, Warszawa 1999.

Autorka nie ukrywa, że do napisania tego skromnego, lecz niewątpliwie pionierskiego dziełka, sprowokowała ją książka Mariana Fuksa **Wielcy i sławni pochodzenia żydowskiego** (1998). Toż to prawdziwa rewelacja! Iluż to wybitnych uczonych, pisarzy i polityków polskiego pochodzenia (po mieczu, po kądzieli)!! Odnaleźć można polskie nazwiska we wszystkich encyklopediach świata (nawet w eskimoskiej – ktoś by się spodziewał? bo ja nie). Tak, potwierdza się przysłowie: sami nie wiecie, co posiadacie. Nakład książeczki (tylko 90 tys. egz.) wydaje się stanowczo zbyt mały. Ta cenna pozycja powinna się stać lekturą obowiązkową dla uczniów i studentów. Wraz z broszurą **Sławni i wielcy Polacy**

Włodzimierz Paźniewski, **Bo ja cie Kochom, Cysorzu!** Eseje galicyjskie, Habsburgianum, Żywiec 2003 (Biblioteka im. Józefa Szwejka. T. 25).

W cenionej serii (otwierała ją w 1991 r., wielokrotnie wznawiana, książka L. Mazana **Szwejk, mój brat i swat**) ukazuje się wybór (dziś już niemal klasycznych) tekstów człowiego entuzjasty cesarza Franza Josefa, począwszy od pierwszego, drukowanego pod koniec lat 70. w *Polityce*, po późniejsze, ukazujące się głównie w *Twórczości* i wiedeńskiej *Die Presse*. Autorowi, nb. słynnego w latach 70. wiersza o Chrystusie jedzącym rybę w barze „Atlantic” w Katowicach, miłość do cesarskiej Austrii wcale nie przeszła, wręcz przeciwnie – stała się jeszcze bardziej gorąca. Czyta się te teksty jak prawdziwą baśń, niemal indyjską. Paźniewski pisać umie: i jak Andersen, i jak Musil. Szkoda tylko, że ironia jest tak cieniutka, że większość czytelników

będzie go czytać nazbyt serio. Może to i dobrze? Bernhard niech sobie Austrii nienawidzi, a my i Czeši – jak szczerze wyznawał Szwejk – za zdrowie Cesarza możemy nawet wypić piwo. Albo dwa. Byle nie w Sarajewie.

Henryk Worcell, **Dziennik 1964-1982**. Oprac. Tadeusz Kurtyka, Grand Hotel, Kraków 2000.

Długo oczekiwane zapiski autora głosnych **Zaklętych rewirów** i znakomitego **Najtrudniejszego języka świata**, obecnie prawie zapomnianego. Tekst z drobnymi opuszczeniami. W t. 3 **Dzieł wybranych** (Oss. 1979) ukazały się fragmenty **Dziennika**, teraz otrzymaliśmy prawie pełną wersję wg rękopisu, przygotowaną do druku przez syna pisarza. Czy **Dziennik** ożywi zainteresowanie prozą Worcella? Mniemam, że tak. Szkoda, że brak indeksu nazwisk.

Książki nadesłane...

Czas opowiadania. Almanach młodej prozy dolnośląskiej. Wybór i oprac.: Antoni Matuszkiewicz, Mieczysław Orski, OKiS, Wrocław 1998; Marian Fuks, **Wielcy i sławni pochodzenia żydowskiego**, Oficyna Bibliofilów, Łódź 1998; Waclaw Grabkowski, **Wchodzisz gdy świt**, Wrocław 1998; Krzysztof Lis, **Z biletem do Wilczy**, Wers, Poznań 1998; **Pamiętam jedynie dni słoneczne**. Bohumil Hrabal w fotografii, Świat Lit., Izabelin 1998; Zdzisław Leon Pokorski, **Spojrzenia...** (Wiersze wybrane), Ziemia ZTPR, Warszawa-Kraków 1998; Wincenty Różański, **Ratujcie serca nasze**, Wers, Poznań 1998; Roman Senski, **Wernisaz z dmuchawcami**. Wiersze, Wers, Poznań 1998; ks. Antoni Siemianowski, **Sumienie**. Przedmowa Marian Grabowski. Linoryty Jacek Soliński. Obrazy na wyklejkach Jan Kaja, Labirynt, Bydgoszcz 1997; Vlastimil Třešňák, **Romulus i Romus**. Przekład Piotr Godlewski, Świat Lit., Izabelin 1998; Małgorzata Wilkosz, **Beze mnie**, Wici, Chicago 1998.

Zamiast cmentarza – park imienia (nie pamiętam)

Cmentarz znajdował się za blisko śródmieścia, a poza tym pochowani na nim byli wrogowie. Żywi wrogowie musieli wyjechać, martwi pozostali – nikt im nie przynosił kwiatków, nie zapalał świeczek w listopadzie. Płyty nagrobne, z czarnego granitu lub jasnego marmuru, ginęły nocą: nadawały się na chodniki, albo po zeszlifowaniu obcych liter i nazwisk – na pomniki co bogatszych rodaków. Obok zajezdnia tramwajowa, za zajezdnią – kąpielisko. Jak tu teraz w lecie miło: w alei kasztanowej chłodek, za płotkiem damsko-męski gwar taplających się w dwóch (w mniejszym – dzieci) basenach, kobiety w bikini nie muszą się wstydzić, że pokazują za dużo (za mało, za mało – podszeptują ja). Jeszcze żyjemy, cmentarze we wszystkich wielkich miastach na dalekich przedmieściach. Umarłym i tak wszystko jedno. Po co umierali tak wcześniej. Też się nie śpieszę, zdążę na czas, na pewno. (87)

[Ze zbioru *Melancholijka polonaise*, 1987]

Jerzy Pluta

Statt Friedhof – die Parkanlage (den Namen habe ich vergessen)

Der Friedhof lag zu nahe der Innenstadt, und außerdem waren doch hier nur Feinde begraben. Die lebenden Feinde mußten gehen, die toten sind zurückgeblieben – kein Mensch brachte ihnen Blumen, noch zündete im November jemand ein Grablicht an. Grabsteine aus schwarzem und hellem Granit verschwanden nachts: sie eigneten sich prima für Bürgersteige, bzw. – nachdem man die fremden Buchstaben und Namen entfernt hatte – dienten sie als Grabsteine wohlhabender Landsleute. Nebenan ein Straßenbahn-Depot, dahinter das Freibad. Wie angenehm es doch hier jetzt im Sommer ist: der kühle Schatten der Kastaniallee, hinter dem niedrigen Zaun schwirrt in der Luft das Stimmengewirr, der in den zwei Becken plantschenden Weiblein und Männlein (die Kinder im kleineren), die Frauen im Bikini brauchen sich nicht zu genieren, sie würden zu viel zeigen (zu wenig, viel zu wenig – flüstere ich hinzu). Noch leben wir, die Großstadtfriedhöfe hat man weit am Stadtrand angelegt. Den Toten kann es ohnehin egal sein. Warum sind sie auch so früh gestorben. Ich hab' es ja auch nicht eilig, ich werde es schon rechtzeitig schaffen, gewiß. (87)

Übersetzt aus dem Polnischen von Rosa-Maria Wrona



Kim jest ten tajemniczy mężczyzna? Nigdy się nie dowiem. Czytaj na s. 21.

Na s. 4 okładki: fontanna z trzema tańczącymi faunami (akurat 12 lipca 1998 nieczynna) przed Urzędem Miejskim w Gliwicach (do 1945 r. – przed hotelem „Haus Oberschlesien”). Pstrykała M., a ja rozkoszowałem się słowami Jana z Czarnolasu...



...A faunomie
skaua, leini...